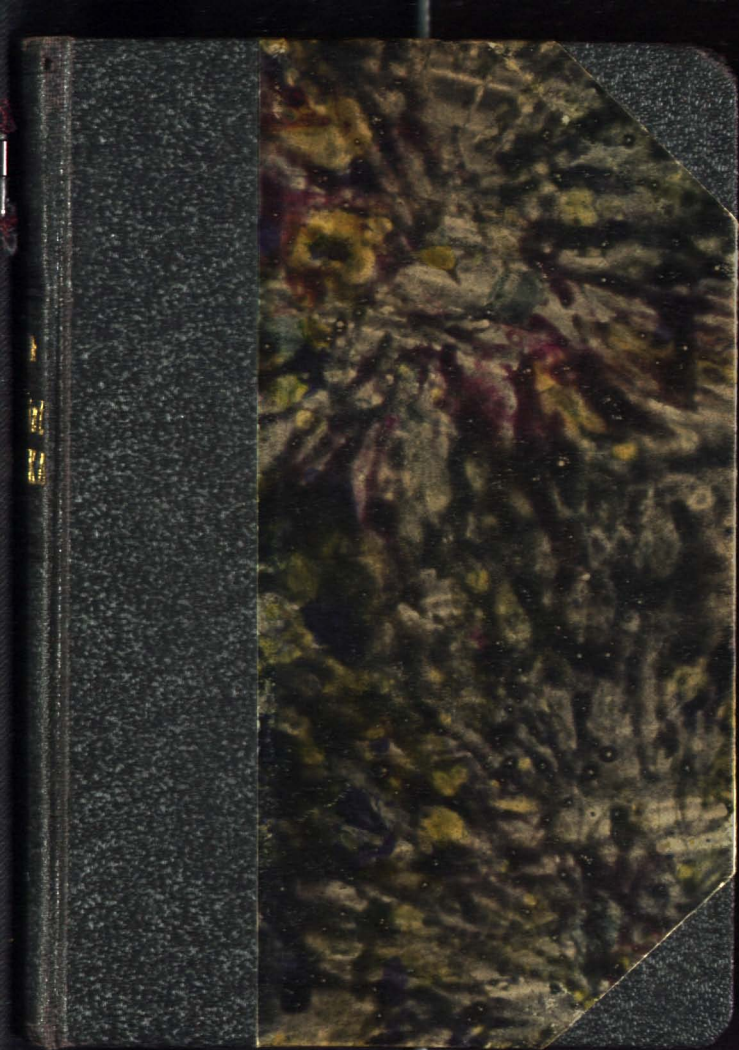




K. F. PASTERNAK.



KILKA OBRAZÓW
TOWARZYSKICH.



WIELKI ŚWIAT
MAŁEGO
MIASTECZKA.

POWIASTKA
KLEOFASA FAKUNDA PASTERNAKA.

Burmistrzowa Wenerą, a Burmistrz
Jowiszem.

Krasicki.

TOM DRUGI.

WILNO.
NAKŁAD I Druk TH. GLÜCKSBERGA.
—
MDCCCXXXII.

Dozwala się drukować, z warunkiem,
aby po wydrukowaniu złożone były trzy
exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno
1830 d. 4 czerwca.

Cenzor Leon Borowski.



HW/PM 2163

I.

DAWNE XIĄŻKI, DAWNE CZASY.

Czytam z pisarzów przesławnych,
Co się działo czasów dawnych.

ZBYLITOWSKI 1600. 4. Kr.

„Wielekroć z niemalym podziwieniem, powiada Górnicki (*), rozbierałem to u siebie i macałem przyczyny, skądby to rośło, iż ludzie starzy, niemal wszyscy, skarżą się na dzisiejsze czasy, a one

(*) 1566 i 1639 Ks. II. str. 78. wyd. 2.

pierwsze zbyt chwala i gania
teraźniejsze sprawy nasze, obyczaje,
i to czegokolwiek oni w młodości
swej nie czynili: a twierdząc, iż
wszystko idzie, co dalej to gorzej,
tak w dobrem a porządnem życiu,
jako też i w innych wszystkich cno-
ciech“

I ja to właśnie, często z Gór-
nickim roztrząsałem, panowie czy-
telnicy, lecz łatwo namacałem
przyczynę. Ludzie starzy wspomi-
nając czasy swej młodości, dla tego
zwykli je w pięknych wystawiać
sobie kolorach, że wiek młodziń-
czy w porównaniu z dalszém ży-
ciem człowieka zawsze szczęśliw-
szym się być zdaje. Wszystkie nie-
winne młodego wieku zabawy, i-

graszki, miłostki, stają w umyśle
dla upiększenia dawnych dobrych
czasów, wszelkie teraźniejsze zgry-
zoty, umartwienia i przykrości po-
deszłego wieku, razem się groma-
dzą, aby teraźniejszość obmierzić.
A przytém jeszcze, przeszłe ucie-
chy żywiej stają w umyśle, niż te-
raźniejsze; troski i losu przemiany,
które minęły i które dolegały, słabo
się nam zwykle przypominają, gdy
teraźniejsze, dziś jeszcze nam do-
piekające, mocniej czuć się da-
ją. Takim sposobem nikną wśród
wspomnień dawnych czasów, tro-
ski nigdy od człowieka nieoddziel-
ne, a same tylko przyjemności
barwią przeszłości obrazy. Ileż się
to człowiek w życiu swoim nasłu-

cha gawędy o tych dawnych czasach, z dobrej tylko strony uważanych; nowe życie błyszczy na twarzy starca, kiedy sparty na grubym kiju, z popruszoną szronem starości głową, trzęsącym głosem opowiada szczęśliwe czasy swej młodości. I ja też lubię czasem zagłębiać się w te dawne czasy, i być niejako przytomnym temu, co na wieki minęło, i po czém tylko mglista pamięć została. Nieraz czytając opisy naszych Turniejów, zalotności naszych wásatych rycerzy, piękności wojewodzianek i kasztelanek, nieraz, wyznaje, chciałbym choć na chwilę, przenieść się w te wieki, tak różne od naszych

teraźniejszych pod wszystkiemi względami.

Zal mię opanowywa, gdy przypomnę sobie, iż rodacy nasi, o dawne umysłu swych przodków zabytki, tak mało dbają, że to, nad czém nie jeden uczony polak mozołnie życie trawił, leży gdzieś nietknięte i zapylone w kącie apteczki; że słowem, rzadko kto dziś wspomina o dawnych ksiązkach i czasach.

Niektórzy mylnie bardzo sądzą, z kilku nędznych płodów, czasów dawnych, o całej naszej literaturze przeszłych wieków. Zapytaj teraz kogo, czy zna Górnickiego, Kochanowskiego, Reja, czy zna Opalińskiego, Zimorowicza, Ja-

godyńskiego, Grochowskiego? Na co mi to, odpowie, niemamże ja nowych? a potem ja ich języka nawet częstobym niezrozumiał. Tacyto ludzie, stare zabytki naszej prozy i poezyi, obracają na funciki do apteczek, i gdyby nie praca kilku oświeconych ludzi, niepozostalby może, żaden ślad bytności dawnych pisarzy. Nie można powiedzieć, ażeby kilku z nich znanych powszechnie nie było; ale więcej jest jeszcze godnych znajomości *powszechnej*, a o jednym z nich myślę pomówić z czytelnikami.

Słyszę już z boku zarzuty, co mogą mieć dawni pisarze za związek z małym miasteczkiem, i poco

ja tu z nauczycielską powagą, zamiast pisać powieść, rozbiéram dawnych pisarzy? Lecz łatwo mi na to odpowiedzieć, kto samych tylko śmieszności tu szuka, ten rozdział śmiało przepuścić może, kto zaś lubi czasem dla różnaitości i o czém ważniejszym pogawędzić, tego ja proszę, aby czytał co nastąpi.

Będę tu mówił o jednym z najmniej znanych poetów polskich, nawet że tak powiem, o pocie całcie nieznanym, to jest: o *Andrzeju Zbylitowskim*. Był on poufałym dworakiem Stefana Batorego i Zygmunta III, z ostatnim nawet podróż do Szwecyi odpra-

wił (*). Wiersz jego samą tchnie naturalnością, i zdaje się być od jednego ciągu pióra ulany. Obrazy które kreśli, są żywe i wierne, a styl i język odpowiadają innym jego zaletom. Wszystkie skarby bogatego już wówczas i utartego języka są dla niego otwarte, używa ich zaś z nieporównaną wprawą i

-
- (*) 1) Poema *Wieśniak* 1600. Krak. 4.
 2) *Witanie Króla Zygmunta III.* 1587 4to. 3) *Satyr o puszczach Litewskich* 1589. 4) *Acteon Poema* 1588. 5) *Droga do Szwecyi Zygmunta III.* 1597. 6) *Historia S. Genowefy.* 1599. 7) *Epithalamium na wesele Jana Dulskiego i Anny Herburtowney w Krak. w drukarni Lazarza* 1585 in 4.

dobitnością. Współczesny Kochanowskiego, chociaż go przeżył, smak swój na jego pismach zaprawić musiał; jakoż, dalekim jest zawsze od próżnych dowcipu błyskotek, które wielu jego współczesnych polubiło. Poemat jego *Wieśniak*, tak cudnie napisany, z taką rozmaitością i prawdziwą poeziją, że dziś nawet przyznałby się do niego najlepszy z naszych poetów klasycznych. Nie nosi on na sobie wcale tej cechy starości, która od dawnych pisarzy odraża, styl daleki od oschłego i dydaktycznego, wystawia czytelnikom obrazy same w najpiękniejszych kolorach. Ustępy historyczne nadają tej pieśni przyjemną rozmai-

tość, i nie odwodzą od głównego przedmiotu, bo autor lekko tylko musnąwszy to, co doń nie należy, powraca do głównego obrazu, aby go nowymi upiękrzył kolorami. Słowem, wyjąwszy parę wierszy, w których styl trochę jest twardy, można z jednego tego poematu nazwać Zbylitowskiego *poetą malarzem*.

Kochanowski pisał także pieśń o zaletach wiejskiego życia, i dziwować się potrzeba, tak wielkie między niemi dwoma znajdując podobieństwo. Lecz ojciec poetów naszych, maluje krótko, wprawnie, i rzuca tylko nawykłą ręką główne cienie i rysy. Zbylitowski nie przestaje na tém, wykoń-

cza swój obraz, i wystawia go z całą czystością kolorytu i pięknnością wynalezienia, jemu tylko właściwą. Początek tej prawdziwie sielskiej pieśni, zadziwić musi czytającego, który się w księdze in 4to gockim drukiem od dwóchset lat wybitej, szumnego panegiryku zapewne spodziewa; i nie pojmuje z jaką słodyczą i wiejską prostotą nasz autor zaczyna.

Siedząc na wysokim brzegu,
Kędy rzeka w bystrym biegu
Po twardym płynie kamieniu,
Rozmyslałem w chłodnym cieniu,
Twe roskosze, twe pożytki,
Uciechy i w czasy wszystkie.
Wsi wesola!..

Radzi będą czytelnicy porów-

nać początek podobnej pieśni Kochanowskiego:

Wsi spokojna, wsi wesola!
Któryż głos twej chwale zdoła?
Kto twe wczasy, twe pożytki,
Może wspomnieć razem wszyscy.

Nie daję się tu widzieć ogromne podobieństwo? z tą tylko różnicą, że Zbylitowski pięknym zaraz zaczyna obrazem. Zdaje mi się gdy go czytam, że widzę starego dworaka, któremu troski głowę zorały, z siwawemi włosami, szukającego schronienia od zgiełku i wrzawy dworu, w chłodnym cieniu drzew ustroni, nad brzegiem groźnej rzeki. Przypomina to bardzo początek tak malowny, pierwszego dumania Lamartina,

którego przekład kilku wierszy umieścić się odważam.

W cieniu starego dębu, często na tej górze,
Siadam smutny, w zachodu ponurej godzinie,

I wzrok rzucam niepewny, po lubej dolinie,
Której obraz tej góry ozdabia podnoże.

Tu ryczy groźna rzeka s pieniącymi wały,
Płynie kręto i w ciemnym znika oddaleniu,
Tam jezioro rozciąga swój kryształ zmar-
twiały,

I księżyc się podnosi na niebios sklepieniu!

Tak, powtarzam wracając się do pierwszego przedmiotu, zdaje mi się czytając mego Zbylitowskiego, iż go spostrzegam siedzącego w ustroni, oczy jego są wlepione w jednostajny bieg wody i przyskanie fali, a myśl z rokoszą rozważa tysiączne wiejskiego życia przy-

jemności. Mniej Kochanowski powaby sielskiego życia malował, bo je posiadał, i był niemi niejako nasycony; lecz przedmiot i cel życzeń naszych w takich się tylko gorącej wyobraźni stawi kolorach, w jakich nasz poeta wieś malował.

Dworak który wiek swój na usługach królów sterał, wzdychający za celem jedynym swych życzeń, czuł wszystkie powaby wioski, a nieznał żadnych jej trosków.

Dozwólcie czytelnicy, abym was bliżej z tym godnym szacunku poetą zapoznał, przyznacie mu sami zalety, jakich mu nawet najsurowszy nieodmówi krytyk. Słusznie jeden z bezstronnych znawców napisał — że Kochanowski często

wyżej wznieść się od niego umie, ale rzadko tak długo potrafi być równym sobie. Karpiński wzrusza obrazem serc ludzkich, ale nie umie tak trafnie malować natury i jej piękności. Oto jeden mały urywek.

Zatym wszystko, wsi spokojna,

Da mi Boska ręka hojna

W tobie, z wysokiego nieba,

Czego tylko będzie trzeba.

Tobie po lasach szerokich,

I po pagórkach wysokich,

Chodzą woły utuczone,

W gęstą trawę rozpuszczone,

Tobie stado owiec białych,

Po pastwiskach okazałych,

Z których ty masz częste welny,

I pastewnik jagniąt pełny;

Nabiału także obfite,

I pożytki rozmaite.

Młyn szumiący, rybne stawy,
 I z gajów częste potrawy,
 Tobie miód pszczoły zbierają,
 Tobie drzewa obradzają,
 Zolań, szerokie dąbrowy,
 Tobie rodzi las bukowy,
 W którym Boginie przed laty
 Mieszkały i Faun kosmaty:
 Tamże przezeń jasne zdroje,
 Leją zwykle wody swoje;
 Skąd biorą, ziola rozliczne,
 Wilgotność, jawory śliczne;
 A zwierz leśny i domowy,
 Ma zawsze w nim żył gotowy.
 Czasem leżą nad potokiem,
 Pod kłosem czasem szyrokim,
 Gdy gorące słońce grzeje,
 Wietrzyk w cieniu chłodny wieje.
 Pastereczki też tym czasem,
 Kwiatki rwą pod gęstym lasem,
 Wieniec wiją malowane,
 Różnym kwieciem przeplatane,

To różany, to bluszczowy,
 Kładą na swe piękne głowy;
 Na co udatne Dryady,
 Z swym Sylwanem patrzą rady.
 I Pomona urodziwa,
 Często się w gęstwie zakrywa,
 Patrząc na ich śliczne skoki;
 I Tytan z nieba wysoki,
 Sam pogląda okiem mile
 Na ich wdzięczne krotofile.

Mogą mię niechętni oskarżyć,
 iż przytaczam te wiersze jedynie
 dla powiększenia liczby kart, mo-
 gę jednak zapewnić, iż w tym celu
 tylko zamierzyłem sobie umieścić
 tu kilka wyjątków, abym czytelnik-
 om dał poznać, iż i w dawnych
 książkach, przy obfitych plewach,
 można i dobre ziarno wynaleść.
 Jeszcze strof kilka pióra Kocha-
 nowskiego.

JIK
 B. ROMANOWSKI

Nr 2163

Oracz plugiem zarznie w ziemię,
Zład i siebie, i swe plemie,
Zład roczną czeladź iwszytek,
Opatruje swój dobytek.

Jemu sady obradzają,
Jemu pszczoły miód dawają.
Nań przychodzi z owiec wełna,
I zagroda jagniąt pełna.

On łąki, on pola kosi,
A do gumna wszystko nosi,
Skoro też siew odpawiemy,
Komin wkoło obsiędziemy.

Tam już pieśni rozmaite,
Tam będą gadki pokryte (tajemne powiastki)
Tam trefne płasy z ukłony,
Tam cenar, tam i goniony (gry dawne).

A gospodarz wzięwszy siatkę,
Idzie mrokiem na usadkę,
Abo sidła stawia w lesie.
Jednak zawždy co przyniesie.

W rzęce na gęste wiewierze,
Czasem wędą ryby bierze,
A rozliczni ptacy wkoło,
Ozywają się wesolo!

Stada igrają przy wodzie,
A sam pastérz siedzi w chłodzie,
Gra w piszczalkę proste pieśni,
A Faunowie skaczą leśni.

Poemat Zbylitowskiego zdaje się być tylko rozszerzeniem myśli Kochanowskiego, rozrzuconych po jego pieśniach; najbardziej w pieśni przerzeczonej. Ten wieków dawnych zabytek, tak jest teraz rzadki, iż u osób prywatnych nigdzie prawie znaleźć go nie można. Co za szkoda, że zamiast drukowania niezgrabnych płodów, oswiałej muzyki terażniejszych tuzinkowych po-

etów, nie zechce kto przedrukować pięknej tej pieśni; a zaręczoby można, że jej czytanie natchnęłoby wiele osób przywiązaniem do dawnej polskiej literatury, w której tyle jeszcze zostaje ukrytych i mało komu znanych piękności.

Spójrzmy, raz już tylko, jak nasz poeta, wiejskim prawdziwie tonem, zaprasza swą kochankę na wieś do siebie. Zdaje się, że na takie zaprosiny, nie jedna czuła piękność owych czasów, radaby była towarzyszyć sielskiemu poecie.

Teraz, miła! której moje
Serce dało holdy swoje,
Nimfo Słowieńska wstydliva,
Nadewszystkie urodziwa!

Nie gardź moją wsią ubogą,
Nawiedz swoją piękną nogą
Gęste lasy, śliczne sady;
Będąc ściany moje rady. (rade)
I dom z drzewa budowany,
I mój chłodnik przeplatany.
Półmisków niemam bogatych,
Sliw a kasztanów kosmatych,
Włożę przed osobę twoję,
A przytém wszystkę chęć moję.
Orzechy, jabłka, jagody,
I lipienie z bystrej wody, (rodz. ryb)
Melon słodki, grono wina,
Ładne rydze i malina;
Gruszki, brzoskwinie ogrodne,
Mléko świeże, piwo chłodne,
I co jedno wieś uboga
Rodzi, Amaryllis droga!
Tym cześć będę usta twoje.

Czytając to, zdajemy się widzieć
kochankę jęgo skromnie i po wiej-

sku ubraną, przychodzącą z nim dzielić, niską słomianą strzechę, mały cienisty ogródek, który strumyk oblewa, domek otoczony drzewem i wszystkie wyliczone tu wiejskiego, spokojnego, ustronnego życia przyjemności.

Któżby sobie nie życzył widzieć tę wioskę przez niego opiewaną; tak jak dotąd widzimy *Czarnolas* Kochanowskiego. Wszystko tam dotąd dla przybyłego podróżnego, zda się tchnąć zapachem dawnego poety.

Któż tam nie poszuka lipy, pod której cieniem z przychylną drużyną, chronił się od upałów nasz wieszcz osiwiwały; znikła już ona, i pamięć jej tylko razem z pieśniami

Kochanowskiego dójdzie do potomości. Na jej miejscu wznosi się teraz kilka topoli, jak przyjaciół na grobie przyjaciela. Z nową nieznaną rokoszą czytają się w Czarnolesiu czule treny po śmierci Urszuli, a dziedziniec chwastem i trawą porosły, przypomina tłumy wesołych wieśniaków, których poeta był ojcem i dobroczyńcą. Szkoda, że żaden pomnik, żaden napis, żadna pamiątka nie zdobi z tyłu względów pięknego miejsca. Kiedyś siedział na gruzach powalonego domu, i spoglądałem przez otwór w murze będący, który niegdyś był oknem pokoju Kochanowskiego, myśl moja krążyła w przeszłości, a marzenia do tego

doszły stopnia, iż je śmiałem wy-
lać na papier.

Wystawiałem wówczas sobie
dawne komnaty, tkanemi sztucznie
ozdobne kobiercami, zostawione
pozłocistemi sprzętami i okryte o-
brazami przodków. Przesuwały mi
się przez myśl strojne w rogówki
i robrony damy, z ufryzowanemi
głowami w których kosztowne bly-
szczyły ozdoby. Wystawiałem so-
bie ucztę taką, o jakiej poezjiwy
Rey wspomina: stół gnący się pod
ciężarem rozlicznych naczyń, zasta-
wiony wykwiłtnemi potrawy. Tu
pokazywał się paw z rozpostartym
ogonem, tam dzik najeżony grzął
w korzennym sosie, ówdzie dłu-
gonogi bocian czatował na rodzeń-

ki po polówce pływające, tam zno-
wu na drzewo obciążone fruktami
zlatywały się cukrowe ptaszki, a
w środku stołu misternie wykształ-
towana piramida, niosła na sobie
cyfrę solenizanta. Tu otaczają stół
liczne tłumy dworaków, pochleb-
ców, sąsiadów, darmojedów i rezy-
dentów — ten w sutym pasie z wy-
muskany wężem i brylantową u-
szy szpilką; inny wziął się w boki
zarzuciwszy w tył wyloty i muszce
resztę niedogolonej głowy; inny
w zgrabnym, opiętym żupanie, z ob-
cisłym żółtym bucikiem, zbliża się
do jakiejś kasztelanki; śmiech się
pusty rozlega na przekąsy i drwinki
kuso ubranego niemczyka, grają-
cego rolę błazna. Lecz oto już

zagrzmiała kapela, słysząc trąby i huk moździerzy, a szary koniec stołu głośno kwaśném piwem spełnia pańskie *prze zdrowie*. Tu się jedne twarze wyjaśniają, inne krzywią, inne wzdłuż, drugie wszerek rozciągają, ten opasły i rumiany z kresą na czole, trzyma się ciągle za damascenkę, gotując się do zwady, ów z lisim kołnierzem zmiata co pozostaje z przed drugich, tamci rwą się do niedopieczonego mięsa, inni do dna wychylają konewki. Lecz powoli wszystko ucichnąć zaczyna, już szary koniec znużony ciągłą pracą przy stole, drzemać zaczyna. Krążą jeszcze pozłociste bez podstaw kielichy, już z trudnością w głowach ospale

obracają się oczy, lśnią się pomokle wąsy, i błazen nawet usnął gdzieś w kącie komnaty. Rozchożdzą się goście, osłabieni długą ucztą na odpoczynek, a czeladź zmiata tymczasem co pozostało od porywczej i łakomej szlachty. Już młodzież zaczyna sobie przypadki swoje opowiadać, ten wrócił ze Włoch obfity w puste powiastki, tamten ze Szwecyi przywoził dobry zapas nowin, inny wymuskany i pachnącymi zlany wódkami, łąta swą mowę francuzczyzną i chwali się ze zwycięstw serdecznych. Indziej od polskiej krwi nieodrodna młodzież, gardząc zniewieściałą zabawą, rzuca pociski na tarczę, godzi na ostrze, potyka się w koł-

czudze, z kopiją, pałaszem, walczy konno i pieszo. Lecą razy, krzyżują się oręża, pękają przyłbice, krew wytryska — i bój ustaje. Tu pleć piękna z wdzięcznym uśmiechem rany zwycięzcy obwija, a chlubna nagroda mężniejszego zdobci. Lecz już zbliża się wieczór, już tysiące światła błyska w przystrojonych komnatkach, słychać pokojowych gędzibarzy strojących narzędzia, zaczynają się goście schodzić na sale. Damy wysnurowane, z długimi ruchami u sukien, błyszczą klejnoty, a bardziej jeszcze wdzięki wojewodzianek i kasztelanek. Już się pokazują mężczyźni, ten w złotym przetykanym kontuszu, ów z błyszczącym bo-

gatym pasem, inny z małą, czeskim kamieniem sadzoną karabelą; wychodzi pierwsza para posuwistego polskiego. Szustają bóty, przelatują wyloty, ściskają się nieznacznie ręce, a ulubiony tańiec trwa póty, póki ostatni skrzypek piskliwym tonem raptownie go nie skończy. Teraz pora młodzieży, żwawy następuje krakowiak, wychodzi kilku z ich grona po krakowsku ubranych. Ci w białych sznurkami naszywanych żupanach, owe w ładnych gorsecikach, w letnikach z kolorowymi wstążkami w około. Śmieją się oczy i twarze rodziców, a oklaski rozlegają się w około. Występuje śpiewak i towarzyszy sobie na cytrze, śpie-

(30)

wając miłe pieśni. Lecą zamiast
pochwał kieski ze złotem, a ura-
dowany cudzoziemiec samego sie-
bie przewyższa.

Ale dosyć tego marzenia, czas
powrócić do miasteczka.



II.

TRAKTIJER.

No, po starej znajomości,
Prosimy teraz waszmości
Na jedną wódki kwatérką.

KNIAZŹNIN. Cyganie.

Traktijer pana Bomby jest w na-
szém miasteczku tém, czém Resurs
w Warszawie, a w Madrycie Prado,
to jest miejscem schadzek, gawęd-
ki, a czasem, bo się wszystko na
świecie trafia, czasem też mówię i
pijatyki. Przybyli zapoznają się
w nim z mieszkańcami, mieszkańcy

zaś w dniach pocztowych, kiedy dyliżans ma przechodzić, regularnie w nim na nowych przybyszów oczekują. W tychto dniach nie popolity ruch się w mieście wszczyna, gotują się na wystawę nowe fraki, bo jak się w starym pokazać przed ichmościami, którzy jadą z Warszawy? kapelusze wysuwają się z pudelek, służący wcześniej odbierają rozkazy względem polysku *nowych* butów, dysponuje się kawa rano, a później idzie się do traktjeru. Można też sobie wyobrazić wszystkie zachody w kuchni Bomby. W podobnych dniach nakrywa sam głowę szlafmycą i kieruje mechaniką kuchenną, kosztuje sosów, przypraw i mięsiwa, biega

ze stancyi do stancyi, laje, piorunuje, a nawet zupełnie na tę chwil parę, o żartach i docinkach zapomina. Godziną przed przyjazdem, gromadzą się wszyscy mieszkańcy na swoich zwykłych miejscach, według godności i stosunków mniej lub więcej przyjaźnych z panem Bombą. Aptekarz jako jego protektor i radzca, (szczyci się bowiem tym tytułem), ma dwa miejsca najlepsze do wyboru: jedno koło okna, drugie koło stołu, wedle okoliczności czasowych. Pan Pretfic osobne posiada krzesło, od innych porządniejsze, skórą wybite, pamiętne tém, że kamerdyner Księcia O**, którego Bomba miał honor częstować obiadem, na

niem siedział. Burmistrz dla żywości temperamentu rzadko lubiący siedzieć, przechadza się zwykle wzdłuż i wszerz po pokoju. Doktor Mięta obrał sobie słabe siedlisko przy kominie, które według *systematu Hufelanda* utrzymuje za bardzo zdrowe i przyjemne. Inne osoby, które uprzywilejowanych miejsc nie mają, mieszczą się tu lub ówdzie, jak los zdarzy. Proszę teraz sobie wystawić wrażenie, jakie czyni na tém zgromadzeniu, głos oddalony trąbki i kłaskanie z bicia. Sprawia to jakby elektryczne wstrząśnienie na przytomnych, aptekarz puszcza z ust fajkę, Pretficz poprawia kołnierzyk i wyciąga lepiej wstążeczkę orde-

rową, doktor spogląda na buty i kamizelkę, burmistrz wybiega za drzwi, aby gości spotkać w bramie, a Bomba donośnym głosem woła: *smażcie kotlety! pieczenie żywiej obracać!* i t. d. Wszystkie głowy suną się do okien, a w miarę zbliżania się dyliżansu, rośnie ciekawość i niespokojność moich współobywateli. Tu się zdala pokazuje zakurzony pojazd nieszczerplej wielkości, ciągniony od sześciu mizernych koni, z forysiem, jak piłka odskakującym od starego siodła, z pakami przymocowanemi z tyłu, przodu i w górę, z wytartym na pół-znacznym lakierem i kilka różnej wielkości głowami, wysadzonymi przez okno. Wcho-

dzi wręście oczekiwany pojazd w dziedziniec, a podróżni wychodzą się posilić do traktjeru. Obsiedli stoły, brzęczą noże, łyżki i widelce, słychać odgłos przyjemny lejącego się z wąskich szyj butelek płynu ożywego, rozmowa staje się coraz bardziej ożywioną, bliższa nastaje znajomość między przybyszami a mieszkańcami, nowiny jedne od drugich dziwniejsze nasycają ciekawych, a gdy się to dzieje, siadam przypatrzeć się każdej po szczególe osobie.

Tam za oddzielnym, małym stolikiem siedzi ponury jakiś negocjant, susząc zapewne głowę, wśród wesołości powszechnej, nad zyskiem jaki mu nowe kupno ma

przynieść. Ubiór jego nie okazuje ubóstwa, ani mierności, i jest nawet niejako wykwintnym. Surdut z pięknego sukna floransem podszyty i pod samą szyję zapięty, okrywa ciało mocne i zdrowe; długie, palone bóty połyskują na nogach, na palcu świeci mu się kosztowny pierścion, a chustka w kraty buchasto zawiązana, podtrzymuje szeroki podbródek. Twarz jego jest pełna i rumiana, oczy żywo obracają się na wszystkie strony, nos garbaty i połyskujący jak od lakieru rzuca cień na szerokie i utłuszczone usta. Zawiązał serwetę pod samą brodę, tabakiera i chustka leżą na stole. Przed nim stoi dobry zraz pieczeni cielőcej i

parę butelek marcowego piwa, których on z natarczywością Tantalą używa. Zdaje się gardzić towarzyszami i do nikogo nie mówi, zapytania zaś zbywa jednozgłoskową odpowiedzią. Na rozmaite koncepta współbiesiadników satyryczne się uśmiecha i wodzi oczyma po wszystkich, jakby szukał sobie towarzysza do rozmowy i jadła.

Drugi w kącie stolik zajmuje oszczędny jakiś Adwokat, przy którym spoczywa plik zagryzmołonych papierów. Ma na sobie, długi wytarty frak granatowy z błyszczącymi guzikami, dewizki na brudnej wstążce spadają mu niżej brzucha, chustka niedbale zawieszana, otacza szyję okrytą gęstym

włosem, szerokie bokobrody zakrywają do połowy twarz pociągłą, wybladłą, nos kościsty, usta ściśnione, czoło wysokie i pole równe. Widać w nim człowieka, którego pospolicie wytrawnym nazywają, oczy jego rzadko się na kogo podnoszą, polyka bez uwagi zastawione potrawy i zdaje się być mocno o czémś zamyślonym. Zapytany odpowiada stanowczo, głosem czystym i wprawnym i póty ust nie zamyka, póki rzeczy o którą jest pytany, ze wszystkich punktów widzenia nie obejrzy. Kiedy chce usta otworzyć, wszyscy nań zwracają oczy i słuchają go jak wyroczni, bo też istotnie, co tylko mówi, mówi z taką pewno-

ścią i stanowczym głosem, iż nie chcąc trzeba mu wierzyć.

Przy dużym stole inni razem zasiadają podróżni, w rozmaitych ubiorach, i z rozmaitymi twarzami. Jeden z nich szczególną postawą, ułożeniem i obchodzeniem się, najbardziej ściągnął moją uwagę.

Był on średniego wieku, krągłej ruchawej twarzy, niskiego czoła i dużych, żywych oczu. Na cienkich nogach, zawieszony był barczysty i potężny korpus. Chustka kratkowana wisiała mu z kieszeni, zakasane miał daleko rękawy, kołnierz od koszuli leżał niedbale na chustce czarnej przypiętej dużą turkusową śpilką. Ze wszystkich obchodził się grzecznie, ka-

żdego prosił na swój obiad i piwo, tak przytém kalkulując, ażeby zapraszany odmówił. Wszedł on w długą z Miętą rozmowę i dowiedzieliśmy się, że był doktorem medycyny i chirurgii, że się zwał Pigulka, i że jechał za interessem familijnym do Brześcia. Nic nie było nadeń śmieszniejszego, a jego walka z samym sobą dobrze mię ubawiła.

Zapoznawszy się z Miętą, niezmiernie naszego Eskulapa polubił, jakoż w skutek tego po długiej o różnych systematach rozmowie, zawołał:

— Proszę dla nas o butelkę... tu się zaciął, pokręcił skrzywioną głowę, zatarł ręce i nie wiedział jak

skończyć — tak... proszę o butelkę... wi..wina; ledwie to wyrzekł jużci uczuć musiał jakoweś lamenta w kieszeni, bo znowu odmienił zdanie. — Tylko bo to te wino, w naszym kraju (dodał skrobiąc się po głowie) nie służy, możeby lepiej miodku... a po czemu butelka starego miodu? zapytał cichym głosem, dziwne wyrabiając miny.

— Ach! drogo, rzekł usłyszawszy cenę, niesłychanie drogo, to wyraźne z nas żarty! — Mięta na ten targ odpowiadał tylko brzękiem poruszanych w kieszeni kilku talarów, i miną ponurą. Wiész co kolego, rzekł Pigułka, tu dobre macie piwo? możeby lepiej...

zaciął się. — Daj nam butelkę piwa, dodał zniecierpliwiony tym korowodem Mięta. Trochę się na te słowa załął Pigułka, ażeby mu czasem nie przyszło za nią zapłacić, użył tedy wojennego podstępu i rzekł: tylko proszę dobrego na mój rachunek. Sądził, że po tém wezwaniu jego kolega będzie się śpierał i sam zechce zapłacić, ale się omylił w rachubie, bo Mięta widząc przecie wszystko załatwione zaczął dawną rozmowę: — Co się tycze systematu *Mažandiego*... i t. d, na którą z wielkiem roztargnieniem odpowiadał przybyły, układając zamiary we względzie piénieźnego i piwnego interressu.

Tak się tedy miały rzeczy między dwoma Eskulapami; reszta podróżnych zatrudniała się gawędką o rozmaitych nowinach politycznych, z tą ostrożnością jaką sprawać zwykła przytomność nieznanym osobom; Bomba krzątał się po traktjerze, słychać było pojedyncze wykrzykniki: *daj tu butelkę! tu szklankę! tu filiżankę* i t. d. gdy wszystko to zniemacka przerwał odgłos pocztylionskiej trąbki i klask z bicia, oznajmujący podróżnym, iż dyliżans gotów był do drogi. Tu dopiero trzeba było widzieć, z jaką łapczywością pastwili się podróżni, nad niedobitkami pieczeni i kotletów, z jaką zręcznością wysuszali butelki, i

z jak kwaśną miną zaczynali się z gospodarzem rozplącać. Pan Pi-gulka jednak ze wszystkich najoszczędniejszym się okazał, bo póty męczył targiem Bombę, póki nie przysłano pocztyliona z oznajmieniem, że wszyscy gotowi do drogi siedzą w pojeździe, oczekując tylko na jego szanowną figurę. Korzystał z pośpiechu nasz jegomość, rzucił kilka piątek zamiast dziesiątek, i siedział już w pojeździe, gdy Bomba w zaszwarzowanej kurtce, w szlafmocy, w wykładanych skórą spodniach i chusteczce nakształt ręcznika wiszącej, wyszedł przed austerją dopomnieć się jeszcze o resztę. Ale dyliżans ruszył z miejsca, podniósł się za

nim tuman kurzu, zagrała trąbka,
kiwnęło się kilka kapeluszków w o-
knie austeryi i pojazdu, zagrzmia-
ło stąpanie koni i bicie kół na bru-
ku — i pojazd zniknął.



III.

N U D Y.

Na cały dom Belindy padła dziś tęsknota.

Świąt. Nudów. tl. Wyszkowski.

Pisząc tę powieść zaczynam już
doznawać wszechwładnej potęgi
nudów; pisać trzeba panie czytel-
niku, bo zacząć a nie skończyć jest-
to jeszcze gorzej jak nic nie pisać,
a wierzaj mi, tak się już to gryzmo-
lenie przykrzyło!!

Nudy! nudy! pióro się zepsuło,
atrament zgęstł, papier przebija,
usta coraz to do nowego ziewania

się przybiérają, a kiedy sam autor, w tak złych ze swém piśmem zostaje stosunkach, cóż to będzie z tobą mościwy panie czytelniku, który oczekujesz za nowym rozdziałem, nowej dla siebie zabawy?

Dziś całe nasze miasteczko nudzić się musi, pan Mięta po wczorajszym piwie usnął, jak długi wyciągnawszy się na kanapie. Pretfio pracuje nad heraldyką, aptekarz ziewa słuchając plotek żony, burmistrzowie mając w swym domu dostojnych pacjentów, krzątają się i łają służących, Emilia — usnęła nad romansiem Walter-Scotta, Bomba słucha rachunków swojej czeładzi — a ja pisać muszę.

O niegodziwe autorów rzemio-

sło! Pisz, pracuj, ziewaj, a potem jeszcze znos ostre przycinki tych, którzy niewiedzą ile nudy kosztuje każda kartka pisarzowi! — Wyjrzałem oknem, na ulicy pusto i głucho, pod mojem oknem tylko szedł jakiś zamyślony młodzik, założył ręce, oczy spuścił, nasunął czapkę i szeptał coś pod nosem. Zdawał się być smutny i znudzony, wolnemi kroki szedł bokiem ulicy; gdy wtém zdaleka dał się słyszeć głos dobitny wesołego jakiegoś trzpiota. Postępował ów szybko po samym środku ulicy, o czy w górę zawrócił, rozpiął surdut, którego poły jasnym podszyte floransem igrały z wiatrami, włosy nastrzępił do góry, ręce zaś wśród

biegu, uwijały się koło niego jak dwa wahadła od zegara. Było coś szczególniejszego w jego garbatym nosie, pod którym lśnił się wymuskany wąsik, w spiczastej bródce, w dużych i niespokojnych oczach i we wszystkich ruchach. Walczyk Tyrolski który z wprawą wyśpiewywał rozlegał się po ulicy, pokazały się głowy kilku mieszczanek w oknach, dzieci powybiegały przed bramę, a jednak bardziej jeszcze, tym dowodem zajęcia poruszony, zwolnił kroku, podwoił głosu, okrzyknął pukle włosów, wzniesł trochę czapkę i szedł dalej. Tętnił mi w uszach brzęk podkutych butów przechodzącego, spójrzałem jeszcze razy kilka, usłysza-

łem parę zwrótek skoczego walcika, ziewnąłem i znowu nlema co robić, niema na co patrzeć, znowu nudy! Rozliczne myśli snuć mi się zaczęły po głowie, myślałem o ludziach, których poznać tak trudno, myślałem o ich zabiegach, namietnościach, i śmiesznościach rozmaitego gatunku, o władzy niepojętej kobiet i tam dalej, i tam dalej; gdy nowy przedmiot zwrócił moją uwagę. Dwóch rzemieślników miasteczka zeszło się pod moim oknem. Twarz pierwszego oznaczała pewną skłonność do bućki, która się jawnie okazywała w przyćmionych oczach w twarzy rumianej i trędowatej, w potężnym kameryzowanym nosie i spalonych

ustach. Drugi był wesół i młody, podarty kapelusz niedbale włożył na głowę, frak zużywany pewno od dwóch pokoleń wisiał na nim jak na kołku, szare spodnie w paski uwijały się około nóg, a skrzywione z podniesionymi do góry noskami bóty, wyglądały jak dwie płozy do sanek. Po przywitaniu zaczęła się rozmowa.

— A co tam słyhać panie Macieju?

— Wszystko po staremu, roboty mało, pieniędzy niema.

— Dawne to baję mospanie, a żonę Waszeci jak się ma.

— At! zdrowa na utrapienie moje, toć mi to jeszcze łeb boli, od jej krzyku.

— Czyż taki zawsze zrzedzi?

— Kobiecej natury nie przemienić. A czy słyszałeś Waś że szewc ten co tu przyjechał z Lublina na Reformackiej ulicy szyld wywiesił.

— Ey? czy doprawdy?

— A juściż nie kłamię i nawet tam coś na swojej desce napisał jakby on był Warszawski szewc, to on tu naszym majstrom wypłata sztuczkę.

— Ej nie, co tam Waś pleciesz, pani Maciejowa powiada że on tu nie tak dla zysku jak dla *renomu* przyjechał.

— Toć zobaczmy, a wiesz jęgomość, że ja bodaj tylko czy nie będę szył wyprawy dla panny Emilii, bo słyhać idzie za mąż.

— Wej go wej! patrzajcie, a za kogoż?

— Juściż nie za tego naszego próżniaka, co to tylko łązi po ulicach i książki czyta, jakby jaki *organista*.

— A za kogoż.

— Oj bodaj czy nie za tego, co niedawno tu przywędrował umyślnie słyszę po niego.

A ha! prawdę mówisz panie bracie, toć to i ja widziałem jak przeszłej niedzieli chodzili z sobą na spacer po wałach, to dycht jakby wlane dwa gołąbki poczepiali się za ręce.

— Nie darmo to u mnie głowa na karku, odpowiedział drugi, ja wręcz *ugadnąłem*, że się oni zwa-

chali. Takiż to już kiedy ja co wyprorokuję, to pewniusięńko musi się stać, ot i przeszłego lata ja zaraz pani stolarzowej mówiłem, że jej synowi źle coś z oczu patrzy, tak też ci go zaraz o złodziejstwo w kożę zapakowali; a —

— Wiem ja, wiem panie majster, na cóż jeszcze mi to powtarzać.

— Ale bo Waszeć to niby niedowiarek.

— Komu jak komu, ale co jegomości, dodał kłaniając się kameryzowanemu nosowi frak wytarty, to wierzę jak księdzu *proboszczowi i książce drukowanej*.

— Kocham też cię za to, rzekł rozczulony pijaczyna ściskając w swo-

ich objęciach kolegę, a potem dodał z powagą i stanowczo wzniosłszy rękę do góry i długo wprzód myśliwszy nad dobitnem i węzłowatém wyrażeniem swych chęci.

— *Chodź na wódkę.*

Potoczyli się tedy oba do pobliskiego szynku, i chwil kilka bawiłem się jeszcze, rozmaitemi ich minami przy odchodzeniu, lecz wkrótce zniknęła i ta pociecha, a nudy które temu rozdziałowi początek dały, zaczęły znówu brać górę. Usta zamknięte przez chwil kilka, gdym słuchał tak dla mnie niepoehlebnej rozmowy, zaczynały się energicznie otwierać, a długie ziewanie rozpędzało przede-

mną dym mojej fajki. Nudziłem się tak zupełnie panie czytelniku, jak ty teraz gdy to czytasz; pomiarkuj więc że to były nie lada nudy! Pusto na ulicy, wiatr kołysał listki samotnej topoli przed mojem oknem stojącej, niebo było w szaraczkowym ubiorze, a gwiazda którą w dni galowe przybiera, nie błyszczała na jego sukni, zupełna panowała cichość, tylko samotny wróbel szczebiotał pod dachem swoje trzpiotowate śpiewki, jaskółki uwijały się koło samej ziemi, zwiastując, zdaniem gospodarzy, słońce, tak niebezpieczną dla mieszkańców małego miasteczka; w domach rozlegały się tylko zwykłe *blągostawieństwa pobożnych*

chrześcian (*) i trzaskanie drzwiami, które poruszało za każdą razą spoczynek psów przedbramnych. Patrzałem ciekawie i łakomie czy nie najdę gdzie przedmiotu do uwagi; aż tu na szczęście moje otwiera się okienko naprzeciw mego pokoju, a z nim nowy do gawędki powód.

Okazała się naprzód mała główka, potem rączka która dalej okno odsunęła, na koniec cała postać kobiety w tym wieku, w któ-

(*) Proszę to nie mieć za jaką rozmówkę do częstych, osobiście w kochanej Litwie, piorunów, etc. etc. którymi się pobożni ludzie nie skąpo częstują.

rym zwykła panować jednowładnie nad sercami. Sukienka w kraty okrywała pierś szybko się poruszającą, chustka bareżowa zasłaniała białą szyję, a loki zdobyły skronie, które niebawnie gałązka mirtu osłonić miała. Niebieskie oczy przebiegły wzdłuż ulicę i stanęły wryte na jednym z niebardzo oddalonych odemnie domów. Ciekawość, nieganna wcale w pisarzu powieści, powiodła moje spojrzenie w tę samą stronę; ujrzałem młodzieńca, który podparłszy się na rękę, głęboko dumać się zdawał. Ciche *tsyt!* dobiegło do jego uszu, i w tej chwili dwie pary oczu zbiegły się razem, a tajemnicza rozmowa przez wejrzenia

nastąpiła. Przysiadłem powoli na krzesło, nie chcąc wstrzymywać po drodze, ciągle wysyłanych ze stron obu, spojrzeń, i zdala przypatrywałem się miłej twarzyczce sąsiadki, ożywionej miłością niewinną. Jakże mi to wówczas żałować przyszło, że dla dwójga kochanków chwila ta nie była wiekiem! Ach! myślałem sobie, zniknie lubie to złudzenie gdy się zbliżycie do siebie, a mąż nigdy cię moja panienko, tyle szczęśliwą, ile kochanek uczynić nie potrafi. Cel waszych życzeń, to za czém wzdychacie oboje, będzie właśnie kres terazniejszego waszego szczęścia stanowić. Zbliżycie się, poznacie, zniknie mamiące złudzenie, zostanie obój-

gu wspomnień tylko zapas niemały i cień jakiś dawnych, pomyślnych chwilek! Ale otóż zmiana dekoracji, ktoś wchodzi do pokoju panienki. Biedna istota! przerwą słodkie jej marzenie, aby zapewne do nadto przykrej rzeczywistości ją przywrócić! Skrada się ktoś z tyłu na palcach, śledzi i chwytą nieboraczkę za ramię!

— Ach! dało się słyszeć po całej ulicy, kawaler zemknął ze stanowiska i placu nie dotrzymał; a ja niepoczuwając się do niczego, śledziłem dalszy obrót rzeczy. — To mama! zawołała później zarumieniona Marynia, i w tejże chwili prędko porwała się od okna, złożyła rączki i oczekiwała bury, któ-

rej ja dla jakiegoś stuku dosłyszeć nie mogłem; widziałem tylko ewolucje ręczne, grożenie palcem, tupanie nogą, karmazyn na licu Pocztmajstrowej, a w końcu — całus w rękę mamy w formie podziękowania za naukę. Wkrótce okno się zamknęło i znowu zabrakło przedmiotu do uwag. Siedziałem chwil kilka, dumałem, wiatr się powiększał, słyszeć już było wruk kołowrotków wieczornych, rąbanie drew na kominki, i w pobliskim domu odgłos jakiegoś flotrowersisty wtórującego skrzypakowi drzącym i nieco, za pozwoleniem całej orkiestry wileńskiej, do pisku niesmarowanych kół podobnym głosem. Mój Jan w drugim pokoju

zdawał się odpowiadać tej muzyce, przez czule jakieś andantino nosowe. Ta rozmaitość głosów myślicie może panowie, że mnie bawiła? — niestety! nic wcale. Słuchałem obojętnie całego koncertu, już i chłód wieczorny dojmować mi zaczął i myślałem zamknąć moje obserwatorium; gdy głośnie

— Dobry wieczor, kochany Pannie! zbudziło mię z moich marzeń, oglądam się, i widzę nieoszaczowanego Miętę z laską pod ręką, z tabakierą, ze swym codziennym kapeluszem, z miną nadętą i prawdziwie *medyczną*, z głową ku mnie wzniesioną i ustami w pół o-

twartemi. Odpowiedziałem na pozdrowienie i zwykła zawiązała się rozmowa.

— Co się tycze wieczora, rzekł Mięta, oglądając się w około, czas jest wilgotny, powietrze ciężkie, a zatém *systema* piersiowe cierpi na tém.

— Być to może.

-- Żle coś Asan wyglądasz, czy nie chory?

— Nie, nie czuję.

— To źle, bo to być musi skryty defekt jakiś, trzeba będzie jegości obejrzyć, żebyś nam nie zachorował. Kończąc te słowa pokłonił mi się i odszedł kreśląc swoją łaską półkregi na powietrzu.

Zamknąłem tedy okno, siadłem nad stolikiem do pisania i tak ukończyły się nudy.



IV.

Z A B I E G I *)!

Zbudzon kot zabawy psiemi,
Bronił się jak mógł na ziemi.
Lecz gdy od kartów przyszło do rzeczy,
Kotek się mając na pieczy,
Jak zoczył półki, wybil psu pyski
I skoczył na murek bliski.
Spójrzył pies w górę i spuściwszy miny,
Rzekł: gardzę zemstą, zapominam winy.
Lubo ból czuję
Krzywdę daruję.

(*) Komu by ten neologizmus zle się
wydawał, może czytać intrygi,
zamiast zabiegi.

(67)

Dziękuję, rzekł burek,
Bardzoś wspaniały,
Wysoki mój murek,
A tyś za mały.

Gdzie szkodzić nie można
Tam zemsta próżna.

TETMEYER.

Jak jestem na tym świecie, je-
szcze mi nigdy los nie sprzyjał sta-
le, będąc dzieckiem rwałem się
do zabranianych książek i odbie-
rałem bury; podrośszy pisać za-
cząłem, i wystawiłem się na przy-
kre pośmiewisko; zakochałem się
raz pierwszy w osobie, która ze
mnie łaskawie tylko żartować ra-
czyła; napisałem powieść małą,
juści znalazła się kopa krytyków,
a nawet jeden jegomość o mało

się nie przyznał, że to jego jest pismo (było to pewno złudzenie estetyczne, często literatom właściwe), dziś nakoniec otwiera się pole intrygom, któremi kierują same miasteczkowe matedory.

Ubierałem się jeszcze dziś i zamierzałem sobie oddać kilka wizyt z rana, gdy usłyszałem hałas jakiś w przedpokoju i wkrótce ujrzałem pocztyliona, który nisko się z dumną pochylając miną oddał mi list jakiś. Rozpieczętowałem co prędzej i zdziwiłem się nieznajomy zobaczywszy charakter. List ten brzmiał w następnych wyrazach:

„ Mości panie!

„ Zręczność miałam dnia wczorajszego dowiedzieć się o tém,

„ czego się od dawna domyślałam,
 „ to jest że wacpan bałamucisz moją córkę. Niestalość jego charakteru i postępowanie, które mamisz wszystkie prawie nasze panny, domyslać mi się każą, iż płochość tylko pobudza go, do udawania miłości, upraszam zatem, abyś pan sobie z głowy wybił wszelkie myśli o naszej córce, która się już więcej w o-knie pokazywać nie będzie, sługa “ *Pocztmajstrowa.*

— Zginięcie! przepadajcie! wykrzyknąłem nieukontentowany list ten przeczytawszy. Któż o tém myślał, kto to słyszał? Znowu los mię prześladować zaczyna!

Jeszcze o tej nowej nieprzyje-

mności myślałem, gdy nadszedł szanowny Burmistrz.

Zdziwiła mię trochę ranna jego wizyta, a bardziej jeszcze mina trochę ponura, z jaką nie zwykł nikomu wizyt oddawać — Schowałem list co prędzej; konsul z powagą rozsiadł się w krześle i zaczął obojętną rozmowę.

Dostało się tam w niej dėszczowi i pogodzie i sąsiadom i nowinom, a na końcu dojechała rozmowa do córki i tu dopiero zahaczył mię niepospolicie.

— Mam tu dopiero kwestiję jedną do pana. Słyszałem że sobie zamierzasz pojąć córkę moję.

— Ach bięda moja, pomyślałem, znowu na kark mi sadzą jakieś li-

cho, cała przykrość mojego terazniejszego położenia stanęła mi w umyśle, sam niewiedziałem co tu na takie *dictum acerbum* odpowiedzieć, namyśliłem się jednakże i rzekłem.

— Niech to pana nie obraża, gdy mu wyznam, że wcale podobnych nie miałem zamiarów.

— Nie, ja się pańskim widokom niesprzeciwiam, dodał Burmistrz, ja tylko chciałem go nakłonić do wyznania przedemną tego, coś jegomość niesłusznie tał przed rodzicami.

— Ale bo ja nie — chciałem powiedzieć, nie miałem takich zamiarów, ale Burmistrz przerwał co prędzej.

— Nie wiedziałeś pan czy my na to zezwolemy. Ale w tej mierze teraz możesz być spokojnym, oświadczyć się tylko formalnie, a nasze błogosławieństwo nastąpi.

Nie chciałem się sprzeciwić Burmistrzowi, drażniąc go i wołałem zwlekać i mitygować jak można. Zabierałem się tedy na jaką dwuznaczną odpowiedź, gdy gość mój za kapelusz wzięwszy, po przyjacielsku mię uścinawszy, wyruszył z wielką moją radością.

Tak dzień minął do połowy, łamałem sobie głowę napróżno, jakby napaści uniknąć, niestałość losu odmienić i interessa moje w przyzwoitym postawić stopniu. Udałem się tedy do Preśców, służą-

cy nadzwyczaj ozięble mię przyjęli, nie mogłem się tedy i u państwa nic dobrego spodziewać.

Istotnie Gottlieb i Gurtleib grający w szachy, w chwili mego przybycia, bardzo zimno mię przywitali, sama pani dała tylko znak ręką, ażebym usiadł, a Emilija ze smutną i ponurą miną powiedziała słów kilka niezrozumiałych.

Gracze obracali się niekiedy ku mnie, dla przerwania milczenia, Emilija patrzyła tylko na mnie, mama dobrodziejka wkrótce wyszła; a ja widząc, iż dwaj przeciwnicy uważać na mnie przestali, zcichą rozmowę zacząłem.

—Przeszłej niedzieli musiała pani wesoło bawić się na spacerze?

— Rumieniec wystąpił na jej lica, zimno jednak odpowiedziała.

— Piękny pan masz widok ze swego okna, jak słyszałam. Zabrało mi odpowiedzi na ten zarzut, myślałem długo, byłem zmieszany, gdy tymczasem panna Emilija zdawała się tryumfować i dodała śmielszym głosem.

— Odebrałeś pan zapewne list od Pocztmajstrowej, bardzo, słyszę, na pana się gniewa.

— Wybaczy pani, śmieiej rzekłem, gdy jej się ośmielę powiedzieć, iż zupełnie fałszywie rzecz jej doniesiono. Tu dla mojej obrony, potępić musiałem dwoje kochanków, prosząc panny Emilii, aby tego nikomu niepowierzała.

— Jeśli to ma być prawda, odpowiedziała z niedowierzaniem, to wszyscy o tém wiedzieć mogą; jeśli zaś jest to tylko czcza ekskuz.

— Więc ja nie miałem szczęścia, zasłużyć u niej na wiarę.

— Tak, rzekła zeicha i odwróciła oczy winną stronę, ażeby ukryć smutek swój i pomieszanie. Gdyby nie przytomność ojca i konkurenta, może mógłbym się być jaśniej cokolwiek wytłumaczyć; ale to przeszkadzało moim zamiarom. Musiałem przestać na kilku mało znaczących wyrazach i okazawszy jawnie smutek przed panną Emiliją, odchodzić z domu, z którego nieco wprzód, tak szczęśliwym wychodziłem. Przekłęte o-

kno! myślałem wyszedłszy na ulicę, tyle mi biędy niewinne moje postrzeżenia zrobiły! Bóg wie jak to wszystko naprawić? Przyszły mi znowu do głowy ranne propozycje Burmistrza, nowy sęk!! Gdziekolwiek się obróć, wszędzie się znajdzie jakaś przeszkoda. Położenie moje zupełnie podobnem mi się zdało, do tego jegomości, który nie mógł stać przy piecu dla gorąca, przy oknie, nie mógł wytrzymać dla zimna; a w środku bez przyczyny nie chciał ani na chwilę pozostać. Narzucają mi to czego wcale nie żądam, nie mogę otrzymać tego, o co się staram, zabraniają mi w końcu kochać osobę, której nieznam i którą raz

tylko w życiu przypadkiem wymknęta czujnej matki straży, widziałem! Zdaje mi się że los mój gorszym jest nawet od jednego z oryginalnych autorów, który pisze bez nadziei aby go kto czytał, drukuje, niewiedząc czy kto kupi, i mniema się u szczytu chwały, gdy świat cały i wszyscy ludzie z głowami (bo wątpię czy pan autor ma głowę, jestto bowiem wiadomość potrzebująca potwierdzenia), zdają się nań wołać:

Ne sutor ultra crepidam (*).

(*) Powiadają że to po polsku ma znaczyć: pilnuj szewcze kopyta.

V.

ZMIANA POŁOŻENIA.

Nie wierz fortunie, co siedzisz wysoko,
Miej na poślednie koła pilne oko:
Bo ta niestała pani z przyrodzenia,
Częstokroć rada swe sprawy odmienia.

Nie ufaj w złoto, ni w żadne pokłady,
Każdej godziny obawiaj się zdrady.
Co da fortuna, toć odebrać może,
A u niej żadna dawność nie pomoże.

KOCHANOWSKI.

Nudzić mię już zaczynało moje
położenie, i wszelkie o mych za-
miarach dwóznaczne pogłoski, po-
stanowiłem więc upewnić wszy-

(79)

stkich o moich przedsięwzięciach
i stanowczo rozmówić się z ojcem
mojej kochanki; będąc już z jej
strony upoważnionym nieco nie-
dawném wyznaniem.

Kołysały mię już słodkie na-
dzieje przyszłego szczęścia, wysta-
wiałem sobie mały porządný do-
mek, ciepły kominek; mały zbiór
dobranych książek, wszystkie wiej-
skie przyjemności i szczęście, ja-
kiego się doznaje przy kochanej
i kochającej żonie. Tysiące za-
myśłów i przyszłych rokoszy snu-
ło się po rozognionej wyobraźni;
gdym kładł frak na siebie, aż oto
jakby na złość pęka rękaw pod pa-
chą. Odwlekła się już nieco chwila
mego mniemanego szczęścia, gdy

stary krawiec powolnie goił rany mojej sukni; skończyła się narescie operacja, nastrzępiłem włosy, zlałem się pachnącą wódką, spójrzałem w zwierciadło i na siebie, a potem za okno, — ach! deszcz padał! Nigdy się bardziej zmartwić nie mogła żadna jejmość, zwarzeniem najlepszego garnuszka śmietanki, jak ja tą przeciwnością. — Deszcz pada, rzekłem do Jana żalonym głosem — Deszcz pada! powtórzył służący i stanęliśmy oba przypatrując się wodzie spływającej po szybach, zciekającej z ryn i dachów i szumiącej w rynsztoku. Stałem tedy z założonymi rękoma i przemyślałem o słocie, gdy Jan domyslniejszy o-

demnie podał mi parasol. Uchwyciłem go co prędzej i powtarzając sobie w myśli zamysły moje, wyszedłem. Wiele musiałem ponieść trudności nim się do mieszkania mojej przyszłej dobrałem, jednak nie bez dobrze zbryzganych butów. Z pośpiechu zapomniałem w sieni nóg obetrzeć i to było początkiem złego; bo Pan Pretfic ujrzawszy mokre ślady nóg na podłodze, najdziwniej się krzywić zaczął. Mama zajęta była pończoszką w drugim końcu pokoju i dość wesoło mię powitała; nie mogło to jednak ani w części osłabić wrażenia, jakie na mnie kwaśna mina jegomości zrobiła. Szła rozmowa obojętnie, a ja pomimo starań mo-

ich, nie mogłem jej do żadanego przedmiotu nakręcić. Przez zręczne w końcu zwróty i zabiegi, doszedłem manowcami do ubitej dróżyny i jakając się wyraziłem moje prośby. Jegomość na to powstał z kanapy, jejmość porzuciła pończochę i włożywszy ręce w kieszenie od fartucha przybliżyła się do nas. Na twarzy Pretfica malowało się pomięszanie, trochę dumy i niepewności; pomyślawszy chwilę jakąś nakoniec i parę razy spójrawszy na żonę, jakby dla wybadania jej myśli, chrząknął, tupnął nogą, podniósł rękę, wziął mnie za ramię i rzekł wpatrując się w moje oczy.

— Nic niemam przeciw żądaniu

pańskiemu, uważam go bowiem za człowieka zdolnego do uszczęśliwienia mojej córki; lecz że zawsze o nią tylko tu chodzi, potrzeba abyś wyrozumiał, czy Wacana nad jego rywala przekłada.

— Miałem już tego dowód, rzekłem trzęsącym głosem.

— Nie, co było, odpowiedział Pretfic, to być mogło chwilowém, rozmów się z nią tedy, a jeżeli zezwoli — reszty niedokończył, a po chwili dodał — Bo chociaż familija pana Gurtleiba wielkie posiada z dawnych czasów zaszczyty, chociaż on sam ma wyższość nad panem przez chwalebny znak orderowy; wolałbym jednak Wacpana, mówiąc bez pochlebstwa, bo tam-

ten jest nieco zarozumiały i czasem mi się sprzeciwia. A przy tém przeczytałem się niedawno że familija Pasternaków, ze znacznej bardzo pochodzi Włoskiej rodziny *Pasternacco*. Zatem moja córka tę niepewność rozstrzygnie i los jego od jej wyboru zależy.

Twarz moja pałała radością, byłem pewny że Emilija, która niedawno z taką szczerością miłość mi wyznała; dziś się zapewne do uszczęśliwienia mego przyłoży. Sama Jejmość ze zwykłą dobrocią, lecz bardziej poufale niż dawniej, szepnęła mi na ucho, ażebym przyszedł po południu, a ona sama wszystko tak ukartuje, abym jedną tylko zastał Emiliją. Poca-

łowałem jej rękę z wdzięcznością i wyszedłem tąż samą fórtką, niemal równie uradowany, jak raz pierwszy.

Nie uważałem wcale na dęszcz, który już kropić przestał, biegłem po bruku spuściwszy głowę i oczy, aż tu czuję w jednej chwili mocne zarazem w czoło, brzuch i piersi uderzenie. Cofnąłem się i ujrzałem Bombę, jedną ręką trzymającego się za czoło, drugą za nos i patrzącego na mnie zapalonymi oczyma. Łatwo się domyśleć, o czém tam zaczęliśmy mówić, mój przeciwnik zawołał: — Ach nos mój! ja zaś — ach moje czoło!

— Ależ bo idąc trzeba patrzeć przed siebie.

— Żebyś pan był patrzył, nie byłoby tej katastrofy.

— Śmieszny człowiek, mruknął Bomba i oddalił się w bardzo złym humorze, aby utopić gniew swój w szklance pończu. — Ja w pół zmięszany, w pół rozśmieszony szedłem spokojnie dalej, aż do mego mieszkania, oczekiwać niecierpliwie godziny, która los mój rozstrzygnąć miała.

Nie jadłem nic przez cały obiad, chociaż potrawy były mi do smaku; niespokojność całego mię przejmowała, siadałem i wstawałem, odsuwałem krzesła, rzucałem książki, i spoglądałem na le-

żący zegarek i po wielu walkach z samym sobą, wyszedłem. Niezawiodła sama pani, zastałem bowiem Emilję i więcej nikogo. Zupełnie tak jak wprzód, czytała romans, lecz twarz jej nosiła piętno smutku, oczy, te czule oczy przyćmiła wewnętrzna jakaś troska, przywitała mię głosem wymuszonym i sparłszy głowę na rękę patrzyła z pomieszaniem za okno. Twarz moja przedłużyła się o pół cala, gdym ją ujrzał w tak złym humorze, który naturalnie mógł mieć wpływ nienajlepszy na moje serdeczne interessa. Zaczęła się rozmowa.

— Zdaje mi się że pani dziś

mieć musiała powód jakiś do smutku?

— Cierpieć jest przeznaczeniem naszym, rzekła z nieporównaną łagodnością i lekkim westchnieniem, nie dziw więc, że i na mnie przyszła kolej smutku.

— Czyby też wiedzieć nie można, co się do tego przyłożyło.

— Wątpię bardzo, żeby to pana zajmować miało.

— Wszystko co się tylko pani tycze, zajmować mię musi.

— Piękna grzeczność, zimno odpowiedziała Emilija, zwracając znowu oczy za okno.

— Czyż mogłabyś pani wątpić dotąd, z wzrastającym rzekłem zapalem, iż jedynie nią tylko jestem

zajęty, i że całe moje szczęście od niej zawisło.

— Jużem to słyszała, rzekła z równą oziębłością jak wprzód, ale pańskie postępowanie, wierzyć mi temu niedozwala.

— A cóżby mogło dać powód, do takiego mniemania o mnie?

— Wiesz to pan lepiej odemnie.

— Nie, pani, nie wiem nic takiego, co by mogło mię w jej oczach płochym ukazywać — prócz, dodałem zmieszany, kilku fałszywych pogłosek.

— Kilku fałszywych pogłosek!! odpowiedziała z uśmiechem satyrycznym, a po chwili dodała głosem coraz mocniejszym — Była chwila kiedym mniemała żeś pan

jest stałym, i kiedy, na moje nie-
szczęście — tu się wyrwało we-
stchnienie — wyznałam niebacz-
nie — ale dziś, chociaż wiem co
go tu do mnie sprowadziło i wi-
dzieć żeś pan prawie pewny dobre-
go swych zamysłów skutku, mu-
szę mu otwarcie wyznać, iż chwi-
lowe obłąkanie zmusiło mię do
nierozsądnego, i źle od pana tłu-
maczonego upewnienia. Proszę się
nakoniec nie obrazić, gdy mu po-
wiem, że nadto mam przenikliwo-
ści, abym chciała powierzyć przy-
szły mój los człowiekowi, który
się tak płochym i dziecinny m u-
kazuje. To kończąc powstała, wzię-
ła za chustkę i wyszła do drugie-
go pokoju, zostawując mię jeszcze

odurzonego i całe do siebie przyjąć
niemogącego.

Przeciwność raptownie uderza-
jąca na człowieka, jest zwykle dlań
zgubnym ciosem. Ze wszystkiemi,
a nawet ze zmianami losu oswoić
się można, a człek ostróżnym staje
się na później, gdy razy kilka spro-
buje biędy! Ten cios niespodzia-
ny, przywiódł mię do jakiegoś sta-
nu niemej rozpacz, która mię już
pożerać zaczęła. Potrzebowałem
wylać moje troski na łono tego,
któryby je chciał podzielić; lecz
na większe utrapienie, nie miałem
prawdziwego przyjaciela!

W tém tedy usposobieniu umy-
słowem, pragnąc odurzającej ja-
kiej zabawy i rozrywki, porwałem

za kapelusz i udałem się prosto do apteki, spodziewając się że tamtejsze plotki, będą mogły ze smutnych marzeń mię ocucić.

Byłto właśnie ten czas, kiedy wieczór z dniem się miesza. Naśladując zwyczaje wielkiego miasta wczśnie pozapalano świece, a gdy wszedłem, całe towarzystwo zajęte było zapewne roztrząsaniem jakiejś ważnej plotki, bo wszyscy razem mówili, a niektórzy nawet, sądząc z postaci, mocno stać musieli przy swoim. Bomba stał na przeciw gospodyni skurczony w pół okrąg, licząc coś na palcach. Burmistrz wzięwszy się w boki mocno nacierał na zdanie doktorowej, sam zaś gospodarz rozmawiał z pacien-

tami, którzy po raz pierwszy odwiedzić go raczyli. Panny otaczały młodą, nowo-przybyłą piękność i złośliwie chichotały między sobą. Stary jegomość udawał wesołego rozmawiając z doktorem stojącym za jego krzesłem, reszta równie była rozmową zajęta.

Przybycie moje niespodzianie pomieszało szyki. Nastąpiło głośne szustanie nogami i pomieszany dźwięk różnego rodzaju przywitań. Spostrzegłem że Bomba, Aptekarz panie i panny mrugały po sobie, a rozmowa zaczęła iść bardzo oziębło, co mi się kazało domyslać, że musiano wprzód roztrząsać, coś zbliska mnie się tyczącego. Bomba stronił odemnie ma-

jąc jeszcze w pamięci świeżo stłuczone czoło, aptekarz ozięble prosił mię siedzieć, kobiety zaczęły rozmowę o pogodzie, słowem wszyscy, jakby zarażeni albo milczeli, albo ziewali, albo mówili o rzeczach zupełnie obojętnych. Poczulem że nie w swoje wdałem się towarzystwo. już było po czasie, musiałem tedy męczyć siebie i drugich. Prócz familii pacjentów, którą moje przybycie wcale nie odmieniło, cały wielki świat zgromadzony, z pewną wymuszoną obracał się i chodził. Gotowano się na przycinki i dowcipne żarty, gdy sama doktorowa, rozstrzepiając frędzle u chustki, rzekła głosem bardzo poważnym :

— Będzie jutro pogoda. Na te słowa próżno wstrzymywane śmiechy dały się słyszeć po kątach, a Mięta z równą powagą, której nie w świecie naruszyć nie zdola, odezwał się z drugiego końca :

— Słońce zachodziło za chmurę. Panny znowu przyłożyły chustki do ust, a Burmistrz powstając z krzesła i prostując się na wszystkie strony, dodał :

— Mam po uszy roboty na jutro.

— Spodziéwać się sloty, rzekł odehrzknięwszy godny pacjent JMPan Stolnik Słomka, noga moja boleć mię zaczyna.

— Co się tycze nogi, przebaknął znowu doktor spoglądając na zé-

garek, to być może skutkiem....
skutkiem — sedenteryi.

— Jak pan nazywasz?

— Sedenterja mości dobrodzie-
ju! sedenterja!

— Umhu! wyrzekł powoli pan
Słomka, więc moja noga ma być
skutkiem sedenteryi? Dziwnej tu
ja się rzeczy dowiaduję!! seden-
teryi!! i powtórzył ten wyraz kil-
kakrotnie z rozmaitym na słucha-
czach skutkiem. Damy starsze wle-
piły węć oczy, panny godnym swo-
im zwyczajem znowu zaczęły chi-
chotać, Mięta z pedanterją stapał
z nogi na nogę, a ja —

VI.

ZARĘCZYNY.

Jedźmy tedy znowu kędy,
Będąc młodym rady wszędy.
Dziewosłab w. XVI. *)

Jeszcze wszędzie pozamykane
były okienice i niedawno na ran-
ne pacierze dziad kościelny prze-

*) Mało jest znajomy światu ten staroży-
tny pomnik dawnej naszej kome-
dyi, który chociaż bez roku, z ję-
zyka i prostoty policzyć można do
dzieł w końcu XVI lub początku
XVII wieku wydanych. Tytuł jest:

dzwonił, ledwie mieszkańcy snem
sklejone oczy przecierać zaczęli;
a większy świat, to jest: apteka-
rzwie, spał jeszcze w najlepsze,
jeszcze i ja leżałem spokojnie w łó-
żku; gdy Jan wszedłszy do mego
pokoju, a rozumiejąc że usypiam
nanowo, chciał mię nibyto nie-
chcący przebudzić. Skrada się te-
dy powoli ku stolowi i umyślnie
go posuwa z hałasem; udałem że
nie słyszę. Puszczą znowu na zie-

Dziewosłab (swat) dworski,
miesopustny, ucieszny. Za-
miast roku napisano:

Roku się możesz niepytać,
Dawszy sześć groszy i czytać,
Tamci snadnie możesz baezyć,
Czym się chce twa myśl uraczyć.

mię bóty, które trzymał w rękę;
lecz wszystko napróżno — bo ja
chcąc dojść co z tego będzie, na
złość chrapać zacząłem. Gdy tedy
wszystkie już wyczerpnął sposoby,
zbliża się do łóżka i głosem schry-
płym powiada:

— Już ósma.

— Mniejsza o to, rzekłem powoli.

— Ale bo już późno, to może pan
wstanie.

— A cóż tam tak pilnego?

— At, to ja chciałem panu tyl-
ko powiedzieć, że — i stanął.

— Cóż chciałeś powiedzieć?

— I, to fraszka...

— Ale cóż przecie?

— To bagatel...

— Ależ mów, cóż tam takiego u licha?

— To bo ja, widzi pan, słyszałem od służącej aptekarza, która to mojej żonie mówiła, a sama słyszała od służącej Pretliców, że dziś...

— To i cóż tam dziś?

— I, kiedy to, rzekł znowu wyszczerzając zęby i śmiejąc się dziewczęcznie, to dalipan bagatel— niewarto i gadać.

— Kończże Janie! czy cię lichio opętało.

— Bo to dziś mają być zaręczyny panny Emilii.

Twarz moja trzy razy zmieniła kolor, byłem zmieszany i razem wstydzilem się mojego pomieszania, które napróżno ukryć usiłowałem.

Przemogłem nareszcie zaporę, która mi usta kleiła i odezwałem się odwracając oczy.

— To i cóż z tego?

— A nic, tylko ja tak sobie chciałem panu powiedzieć.— I odszedł zaspokoiwszy się, że przecię mógł wypuścić ustami, to co złapał przez uszy.

Leżałem na łóżku i głowę mając dziwnemi nabitą marzeniami, przypatrywałem się niestałym, niebieskawym obłoczkom dymu mojej fajki. Myśli moje jak lekkie dymki biegały po czarownej krainie wyobrażeń i domysłów, wzdychałem, piersi tłoczył jakiś ciężar nieznanym, głowa boleć zaczęła i po-

stanowiłem cały dzień przepędzić w łóżku.

Widziałem wyraźnie, że mój Jan miał coś, co mu dolegało; spoglądał bowiem na mnie z jakąś miną, która się mówić zdawała: *powiedziałbym ja coś, ale niemogę*. Chodził ciągle z wewnętrzną jakąś niespokojnością z kąta w kąt, ukradkiem patrzył na mnie, kilka razy otwierał ust chcąc coś mówić, ale go jakaś niewidoma władza zatrzymywała. Chciałem przerwać jednostrajność milczenia i zacząłem rozmowę.

— Cóż tam więcej słyhać?

— A nic więcej, tylko to co mówiłem, że...

— Wiem już, wiem.

— Że panna Emilija...

— Tażes to już mówił.

— Że dziś będą zaręczyny.

— A wieleż to jeszcze razy będziesz powtarzał? zawolałem zniechęcony.

— Nie, ja nie powtarzam, dodał spokojnie mój sympliciusz, tylko mówię, że dziś zaręczyny panny Emilii.

— Jeszcze swoje! przecież już mi to mówiłeś, i wiem o tém dobrze, naco mi tém głowę nudzić.

— Toż ja nie nudzę, tylko tak sobie powiadam, że dziś zaręczyny, może i pan tam będzie.

— Nie, ja dziś ani na krok z domu się nie ruszę.

— A toż czemu? czy tylko pan nie chory?

— Trochę.

— To ja zbiegam po pana Miętę.

— Niepotrzeba.

Jan ruszył na to ramionami, i w tejże chwili usłyszałem w sieniach pomieszane głosy, a między niemi poznałem Puksztę młodego, syna Burmistrza, o którym, jeśli się nie mylę, już tam coś czytelnikom w pierwszym tomie namieniłem. Lecz już drzwi z trzaskiem się otwarły, jak bramy piekła przed Orfeuszem, a młodzik wleciał do mego pokoju, niesiony na skrzydlach promocii do klasy czwartej, którą jak wieść niesie winien był szynkom i kielbasom, profes-

sorom od ojca posyłanym. Bądź jak bądź, ledwie że wbiegł do mnie i przywitał z poufalością jakiej się nigdy niespodziałem, zbliżył się do lustra, kiwnął głową Janowi, który niespuszczając oczu schylił się tylko do połowy na znak uszanowania; i zawołał wprawnym głosem:

— Wieleż to ja tu zastałem nowości!! Czy wiesz że dziś zaręczyny Enilki? Dalibóg szkoda, rzekł nieczekając odpowiedzi, miałem projekciki na jej piękne oczki, i byłbym chyba nie Puksztą gdyby się nieudały— ale te zaręczyny!! tfu! warjacja!! co pan Kleofas o tém myśli?

— Ja? rzekłem drżącym głosem

i zacząłem kaszlać, gdy mój młodzik, jakby zniecka coś sobie przypominając, wykrzyknął, aż Jan wytknął na ten odgłos, z drugiej stancii głowę.

— Ach! cóżto? jeśli się nie mylę, jegomość coś tam chodziłeś szalenie koło panny Emilii! ha! ha! ha! a to śmiesznie! no i cóż? jakże to było? zmiłuj się powiedz

— Co takiego? przebaknałem zmieszany, cóż mam panu powiedzieć?

— Jak to było przecie?

— Ale ja nie wiem o co się pan pytasz!

— Jakże? czyżś pan nie starał się o pannę Emilię?

Znowu niechcąc się rumieć, uciec się musiałem do wolności poetycznej. — Nie!! a któż to panu mówił?

— Słyszałem! rzekł zimno, gadano o tém. Potém z moją radością obrócił się ku czemu innemu. — Wszystko dobrze! panna Gabriela urosła, wyładniała, córka doktora już znowu zacznie mi robić słodkie oczy; nie bez tego żeby też i do panny Słomkowej umizgać się nie było można!! Doskonale!! Wiesz panie Kleofasie, jaki ja sobie fraczek sprawilem! najnowszym krojem! żaden z waszych krawców ani w połowie tak nie zrobi. Toż się to w przyszłą niedzielę wystroję! Oj będąż pan-

ny szalały. Ale, ale! a taż lornetka? to mówiąc wyjął szkiełko i skierował na Jana, no — a teraz, dodał, żegnam, do widzenia! Zobaczym się u Pretficów! — i wyleciał śpiwając za drzwiami:

Ja żyję z fortuną jak własny jej brat!

Zostałem się znowu sam jeden z mojęmi marzeniami, które chociaż nie jestem wcale poetą, a tém mniej romantykiem, równie może lubię jak nasz Mickiewicz, który

— aż do końca świata.

Chce marzyć, jak przemarzył młode swoje lata.

Przyznam się że to termin dla mnie trochę zadaleki, ale jak dla pisarza, który w pismach swoich spodziewa się nieśmiertelności, nie

można powiedzieć, żeby to było za długo. Gdy tedy myślę sobie o wszystkich rzeczach i niektórych innych, aż tu nowy gość wchodzi do pokoju. Zbladłem na widok dostojnego Burmistrza, i serce bić mi niezwyczajnie zaczęło, jakby z jakiegoś przecucia. Ledwie że się usadowił dostojny mąż na mojem pochyloném krześle, które piśszało pod ciężarem jego urzędu, pociera czub i chrząknąwszy rozmowę wszczyna:

— A widziałeśże mego syna?

— Raczył dziś być u mnie.

— Nieprawdaż, że z niego dla rodziców rośnie *pociecha*.

— O i wielka, dla każdego jest prawdziwą *pociechą*.

— Otoż to lubię, kiedy kto bezstronnie, prawdą a Bogiem co mówi, to aż miło słuchać. Już to Aptekarz i Doktor, to przez zażdrość chcą mi wmówić, że z niego sowizrrzał. Ale co to, są to istne brednie, osobliwość że chłopiec tam trochę poszaleje — i myśmy też to szaleli! ażeby znów tak brąć strykte. Jednakoż to on przecie i nieladajako się uczył, bo dostał promociją. A że chłopiec w czasie wakacji poszaleje?! to na to wakacje! u mnie na ferje to alwar nie raz poszedł na uklejenie latawca. — I tu starowina pustym swym śmiechem mój cichy pokoik napełnił, a potem kończył.

— Uważałem że ci on też się i

do książki, czasu wolnego, przysiadzie, a i siostrze i naszym pannom, zawsze książek przywiezie.

— A to bardzo chwalebnie.

— Tak! o tak! chwalebnie! do bry to chłopiec, i teraz założyłbym się, że tam sobie książki układa.

Jakby na przekorę dał się słyszeć w tej chwili głos młodego Pukszty pod oknem: — Jak się masz Róziu! czy zdrowa! a poczekajże mam ci parę słów szepnąć. Ciekawy ojciec wyścibił oknem głowę i zawołał na syna — A co tam Waś z Rózią? Zmieszał się niespodzianem natarciem synalek, ale wkrótce zwykłą odzyskawszy bezczelność, śmiejąc się z miną pie-

szczonego dziecka, rzekł do tatusia. — Ej nie! ja się chciałem zapytać tylko czy państwo są w domu, bo miałem być teraz u nich. — To co innego, rzekł Puksza odstępując od okna. A teraz, dodał, pomówmy o naszych interesach. — Zbladłem jak autor zobaczywszy recenzję na swoje pisma, na takie wezwanie, i postanowiłem cierpliwie czekać rozwinięcia rzeczy. Burmistrz nowej nabrał powagi i głosem trochę do wymówkowego podobnym

— Czemuż, odezwał się, dotąd oświadczyć się formalnie pan niechcesz.

— Bo, przyznam się panu, że ja

żadnych niemam zamiarów względem córki pańskiej.

— Co? a żartujesz bracie! mnież przecię żona wyrażaie mówiła.

— Żałuję mocno, ale to być musiała omyłka.

— A poznaję, poznaję co się to święci! ja też wcale jegomości się z moją córką nie napieram! nie wymawiaj się! Mało ja o to chodzę, a nawet rozmiarkowawszy się, tobym jej jegomości nie dał. Tak! odtąd bardzo proszę zaprzestać o tém myśleć Tak! moja Klimusia nie dla waszeci! nie dla waszeci!

— To też ja się o nią nie napieram.

— Tak! boby to było próżno, nigdybyś jej ręki nie dostąpił. Pa-

trzajcie! jaki mądry, rzekł wychodząc — nic z tego! nie! moja córka ma lepszych od Wasana konkurentów. Gdy tedy wyszedł, odetchnąłem z radości, a pan Pukszta założył ręce i pierwszy może raz w życiu zamyślił się zupełnie. Po kilku jednak minutach poszedł do domu, i ledwie drzwi zamknął za sobą, rozniewany zawołał na żonę:

— Pięknieś mnie Jejmość wystrychnęła.

— A cóż tam mój kotku, rzekła burmistrzowa patrząc się w lustro.

— A już to zawsze twoje rachuby, moja pani, to mnie dobrze wyprowadza. Ot i teraz wysłałaś mię do tego Kleofasa.

— I cóż?? krzyknęła żywo Jejmość podbiegając ku niemu. I cóż?

— Cóż? rzecz prosta, powiedział że mu się ani śniło o naszej córce.

— A to impertynent! no i gadajcie. Teraz się wypiera, a kiedy do umizgów to pierwszy. I jakże mówił, czyż tak wyraźnie?

— A wyraźnie, ani słuchać chce o niej.

— Bo to i ty mój dobrodzieju! to sobie nie postąpić nie umiesz.

— Tak! sama kwasu narobiła! a na mnie całą rzecz chce zwalić, jakże tam u licha było gadać?

— Szkoda że mnie tam nie było, wszystkoby poszło dobrze. Wa-

szeć to tylko zdał się do swoich policjantów! patrzajcie! i tak popsuł mi wszystko.

— No cichoż, cicho! już znowu rozpuściła język, toż już się wszystko skończyło.

— Jaby miała być cicho! tak? nie, o nie będę cicho! będę tobie uszy suszyć, póki ty mazgaju nie naprawisz tego coś popsul.

— A kiedy ja nie popsulem, stara kwoko!

— A kiedy ty popsuleś, rzekła burmistrzowa odwracając się z twarzą pałającą — To i cóż teraz zrobisz z Klimusią?

— Eh, mój Boże, znajdzie się dosyć jeszcze konkurentów.

— Oj nie wiem, już też to, rze-

kła z cicha, wiesz dobrze, że jej 26 rok się kończy w Nowembrze.

— To co! to sam wiek moja duszko, odparł burmistrz powoli żonę łagodząc.

— Już ty to od dziesięciu lat powtarzasz, że sam wiek, ale ja najlepiej znam się na tém, a tu znowu przepadły moje rachuby. Tu się nieco zamysliła, a potem znowu dodała: — I cóż ty jemu na to powiedziałeś?

— A cóż, zburczałem jegomości, i powiedziałem mu, że choćby Bóg wie co robił, to mojej córki nie weźmie.

— No a co? nie mówiłamże ja, że ta kapuściana głowa wszystko popsula, rzekła jejmość klepiąc

rękami po bokach, a któż tak widział gadać!

— Nie gniewajże się jejmość, bo i cóż ja temu winien.

— Co winien? i jeszcze się wypiera. Tfu! maro! i wyszła z pokoju zostawując męża ruszającego ramionami.

Ale dosyć już tej rozmowy, przejdźmy lepiej do mnie, do mojego samotnego mieszkania.

Siedziałem sam jeden, i z wzrastającą niecierpliwością oczekiwałem zaręczyn, które wkrótce odbywać się miały. Sproszono na ten obrzęd całą publikę naszą, mnie nawet nie zapomniano, ale się wymówiłem chorobą. Uważałem jak się goście o naznaczonej

schodzili godzinie. Szedł doktor w seledynowym fraku, nowym kapeluszu, w trzewikach, białych pończochach i jasno zielonych rękawiczkach; dalej Bomba w buchastym ubiorze, w jasnej, paskowanej kamizelce, postępował wiały się w boki. Jechały wystrojone damy landarami; lojowe świetki błyszczeć zaczęły w oknach domu Pretficów. Od aptekarzy pożyczono kanap, krzeseł i stół, niosąc to wszystko w tryumfie do domu obrzędowego. Całe miasto było w ruchu, ulica pełna ciekawych, a pod moim oknem właśnie tych samych dwóch majstrów się zeszło, co wprzód.

— A co, czy ja waszeciowi tego nie mówilem onegdaj, rzekł starszy, że to coś będzie, może nie ugadłem?

— Aha, ot i dziś zrękowiny, ale mojemu bratu mówiła szewcowa z Warszawskiej ulicy, jakby ona słyszała od służącej doktora, która to miała od Rózi, tej subretki Pretficów, że tego naszego, co to koło niej chodził szkaradnie odprawili.

— Takci to i ja słyszałem.

— Ale wasze nie słyszałeś, że on sam Pretfic, jakby jego bez drzwi wypchnął.

— Psii!!

— Dalipan prawda! a co to ludzie o tej pannie gadają.

— I cóż, mój dobrodzieju.

— Ona jemu słyszę (tu schylił się i szepnął zcicha), jak się oświadczył, to powiedziała....

Huczna kapela, która w tej chwili zagrzmiała, nie dała mi ważnych usłyszeć wiadomości. Mocno tego żałuję.



VII.

N O C.

Noc w swoim majestacie cieńmi osłoni-
nym,
Wzniosła berło z ołowiu nad światem uspio-
nym.

YOUNG. *tt. Dmóch.*

Już w śnie słodkim spoczywa je-
dna półkula ziemi, księżyc pod-
niósł się na czystym niebie, wszy-
stko po trudach usypia, a ten, któ-
remu los zamknąć powiek nie da-
je, nawet wśród powszechnego od-
poczynku, pracować musi. Tysiące

(123)

dzikich, czarnych, niepojętych o-
brazów nasuwa mi się; spoglądam
z jakąś obawą na siebie, na pokój,
na księżyc i świecę. Zdaje mi się
w tej chwili, że sam jeden po-
został na świecie, że przestrzeń nie-
dojrzana dzieli mię od wszystkich,
od wszystkich, których los mój
obchodzi. Lichtarz z umbrellką i
świecą długo nieucieraną stoi prze-
de mną, a stół zawalony papierami
zdaje mi się być jakimś duchem,
który mię pilnuje. Ale precz, precz
czarne myśli! idźcie w głąb serca!
ludzie was znać nie chcą, niech
serce nieznana gryzie troska, a u-
sta niech uśmiech udają! Udrę-
czenia moje mnie tylko zajmują,
świat się z nich śmieje i urąga.

Sieroto opuszczona! nieodzywaj się do ludzi, drogo opłacić będziesz musiała najłżejszą pomoc, którą ci dadzą.—Kur zapiał! i miron przebiegł po mojem ciele. Powolne uderzenia zegaru wieżowego, rozlegające się po murach pustego zamku ogłosiło dwunastą — godzinę zjawisk i duchów. Znowu dreszcz mię przechodzi — oczy ciemną okryły się powłoką, włos najeżył się na głowie, a świeca coraz bledszém światłem goreje. Przypomniałem spójrzawszy na nią życie człowieka, który jak ona coraz to bliżej i bliżej końca, nareście ginie jak w morzu kropelka! — Tyś się wspomnień ciśnie się do zdurzonej głowy, tysiąc westchnień

za szczęśliwszemi młodemi latami z dymem fajki uleciało. Oczy coraz bardziej się kleją, lecz nowa scena rozpoczyna się w pokoju. Ledwie że wybiła dwónasta, czyby téż kto temu uwierzył, z rozmaitych kątów stękania słyszeć się dały, a naprzód butelka stojąca na oknie, coś nakształt stłumionego śmiechu wydała. Zdała się jej na to odpowiadać szklanka, wesóło podskoczywszy, aż tu i komoda w kącie stojąca ziewać zaczyna; następnie wyciąga jak po długim śnie brzękły antaby, odchrząknęła jejmość, i w tej chwili kilka płaskich talerzy wydało głos zadumienia. Widelce powysuwały się z szuflady, i pobrawszy się zaczęły wol-

nym krokiem przechodzić się po podłodze, parę nożów zaprosiło z sobą do wspólki trybuszon, na którego widok korek z butelki wyskoczył i uciekł aż za piec, i poszli wszystko razem. Wtém z podziwieniem mojem i żalem kalamarz, jedyna pociecha gryzmołów, zeskoczył ze stołu i cały w ukłonach towarzyszył piaseczniczce. Pudielko od tytoniu siedziało na miejscu pokaszliwając, a flaszeczka od lekarstwa krokiem poważnym w pstrym swoim nagłówku, od sprzętu do sprzętu zaczęła odbywać ekskursie.

Pokój mój pełen był dymu, świeca dopalała się, a lichtarz dziwnie podskakiwał i krzywił się

ile razy doszedł go płomień. Wkrótce gwar powstał wielki i wszystko było w ruchu, bóty wysunęły się z za pieca i poszły na umizgi do kaloszków, które w kwaśnym humorze nie chciały ruszyć się z miejsca. Parasol zrzucił z siebie kółko, rozpiął się jak paw i do jednej z firanek szarmancko się uśmiechał. Niewiedzialem wcale co sądzić o podobnym zjawisku, siedziałem tylko — ciężkość jakaś spadła mi na powieki, serce gwałtownie biło, włosy do tego stopnia najeżyły się na głowie, iż mi zrzuciły szlafmycę, i tak byłem przejęty, że się z miejsca ruszyć nie mogłem. Wzrok mój błądził po ożywionych sprzętach, które jak

po długim spoczynku, w ciągłym zostawały ruchu. Wtém otwiera się z trzaskiem szafa i cała processa wychodzi. Były tam solniczki, kieliszki, imbryczki, garnuszki, zaczęło to wszystko defilować przedemną — aż tu jednym razem, gdy m usiłował otworzyć gwałtem przy mrużone oczy, kur zapiał — i wszystko stanęło spokojnie na miejscu!

Ciężkie westchnienie z piersi mi się wyrwało, smutne myśli, jak wiatr jesienny snuły mi się znowu po głowie.

Wszystkie władze mego rozumu, namiętności i skłonności dziwnej z sobą wiodły utarczkę. Górowała wyobraźnia, rozum usnął

w kącie, pamięć kiedy niekiedy ponurym odzywała się basem, miłość okryta smutkiem usnęła na chwilę w przeciwnej stronie od rozumu, omamienie przyłączyło się do fantazii i imaginacji i z obłoczków dymu zaczęło dziwne kształcić figury. Snuły się mary jedna za drugą w dziwnych przemianach, a umysł mój cały tak się zmieszał zjawiskami tej nocy, iż — usnąłem.



VIII.

ŚMIERĆ.

Na licu bladość śmiertelna osiadła,
Błędne oko otacza źrenica zapadła,
Znikła żywość z postaci i język zmartwiał.
Chciała mówić, lecz słowa na ustach sko-
nały.
Nie krąży krew po żyłach i ciało bez ru-
chu.

OWIDIUSZ. Met. Niobe.

Był w naszym miasteczku mło-
dy jeden człowiek, dziwnego, jak
to mówią, nabożeństwa. W samym
kwiecie wieku zdawał się być cał-
kiem życiem nasycony, nic go za-
bawić nie mogło, nic pocieszyć ani

(131)

rozerwać. Wieczną bladością twarz
miał okrytą, oczy czułe prawie za-
wsze zlane były łzami, których nikt
przyczyny nie wiedział. Nikt go
w troskach nie cieszył, bo się nie
zwierzał nikomu. Lubił samotność
i naukę, słowem był on jedną z tych
rzadkich istot, które żyją na ziemi,
niebędąc do niej stworzone. Pan
Mięta wyrokował, że, co się tycze
jego, to nie długo zapewne poży-
je, bo rozpoznał w nim suchoty,
które go coraz i coraz bardziej do
grobu zbliżały. Nie raz widywa-
łem go siedzącego w zadumaniu
nad rzeką z wlepionymi w nią o-
czyma i przepędzającego tak dni
całe. W tycho właśnie dniach u-
marł on spokojnie na rękę rozpa-

czającego i wiernego sługi, a pomiędzy papierami znaleziono jeden który dziką jakąś tchnie melancholiją. Data pokazuje że dniem przed śmiercią był pisany. Wyznać muszę, że nie raz czytając to pismo łzy mi w oczach stały. Oto jest nic nieodmienione, w całości.

— „Księżyc wszedł na niebie, błęde obłoczki igrają około niego! noc tak spokojna i cicha! wietrzyk tak lekki jak westchnienie zasmuczonego człowieka, wdiera się pomiędzy drżące liście topoli! Raz ostatni umierający spogląda na piękność przyrodzenia. Niestety! rzekł westchnąwszy, kiedy serce moje bije gwałtownie na widok tyłu natury piękności, co chwila,

co uderzenie skraca się, i tak nie długi wątek mego życia. To com ukochał, oddalonem jest odemnie, i zapomina o mnie, lub mylnie cieszy się losem moim. Wszystko mi tylko bolesne w sercu rodzi wspomnienia; każda rzecz przypomina krótkiego życia szczęśliwe chwile, wszystko mi dowodzi, że to szczęście nie wróci, i że pamięć jego wkrótce razem ze mną pójdzie do grobu. Ostatnie to łzy podobno płyną po zmartwiałej twarzy! Ach! czemuż i nad brzegiem mogiły, kiedy musimy opuszczać wszystko to, co tu nas do ziemi przywiązywało, czemuż i wówczas gorzkim wspomnieniem, zwiększamy boleść naszego rozłączenia. Chłód któ-

ry mię otacza i ostatni raz łechce przyjemnie, wprędce otoczy zimny grób mój, wiatr który listki porusza, nieza długo zaszeleści gałązkami suchego krzaku nad zimną głową moją. Jakże człowiek jest biędny! nie dla świata on tu na świat przychodzi, cierpieniem mu przeznaczoném cieszyć się musi, osłodą dla niego łzy wylewać! Nieszczęsny, kto w dręczącej boleści łzy żalu uronić nie może, kto kona na obcej ziemi, zdala od swoich! nad którego mogiłą nie westchnie kochanka ani przyjaciel. Gdybyż przynajmniej przy śmierci zapomnieć można o życiu! lecz ono właśnie przy schyłku najpowabniejszym nam się zdaje, jak pło-

mień, który najjaśniejsze rzuca światło i gaśnie. Jakąż spokojnością ten widok serce napawa! zdaje się że dla człowieka krainy jakieś nadziemskie się otwierają — lecz nie! ziemia, która go wydała i karmiła, i po śmierci — szczątki jego w sobie zamyka....

(Tu kilka wierszy pustych).

Zaledwie oczy zamkną się na wieki, jeszcze mogiła darnią nie porośnie — oschną łzy boleści i żalu, które zgon na chwilę wycisnie. Czasem tylko, lecz to nadzieja!! wspomnienie zmarłego, uczci luba lżą czułą — może westchnie spojrzawszy na to przyrodzenie będące świadkiem ostatnich mych uczuć i myśli. O gdybym w tej

chwili widział ją łzawém okiem patrzącą na mnie, gdybym ostatnie technienie przy jej ustach mógł wydać, gdyby serce moje przy jej sercu raz ostatni oderzyło, gdyby ręka moja stygła czując uścisk jej dłoni! Ach! czemuż wyroku mej śmierci w jej oczach zroszonych łzami czytać nie mogę — ileżby mi w ówczas był słodszy! Bodałby jedno przynajmniej czułe serce westchnęło po mnie! Nie! inaczej ja życie zakończę — nieczuła jakaś ręka, przysypie mię obcej ziemi garstką — dolina tak mi miła, nie zobaczy mię więcej pod cieniem klonu! nie siądę już na znanym mi kamieniu! oddalony — na zawsze — na wieki! —

Z nowém wysileniem uderzyło moje serce — już was nie zobaczę — nigdy!! Ach! znieść tej myśli nie mogę. — Czyż nigdy z zachodzącém słońcem nie usiedę na progu skromnej naszej kaplicy? nigdyż pod cieniem drzew ojcystych nie usłyszę głosu — głosu — Anieli?... Tak, nigdy!

Wśród tego tłumu obojętnych ludzi, napróżno szukam takiego, któremubym mógł się zwierzyć. Wszyscy są dla mnie obojętni — bo nikt podobnego mi losu nie doznał. Przypominam sobie jeszcze w mojej słabej pamięci te radośne młodości lata — jej uśmiech boski, niewinny, jej niebieskie spojrzenie i wesołość niezmyśloną, która

póty trwała, póki wykwinie wychowanie, nie nauczyło ją kryć w duszy uczucia, a usta i oczami co innego wyrażać. Czemuż straciłaś powab przyrodzonej piękności, a z nim i niewinną, czystą miłość ku nieszczęśliwemu, który sam jeden — jeden! bez przyjaciół i rodziny, na całej ziemi, twoje tylko serce posiadał? Były to szczęśliwe lata, ale też krótko trwały — nastąpiły czarne smutki i tróski; długo ciągnęło się ich pasmo.... ale i te wkrótce się rozerwie. — Żegnam was moje rodzinne strony! oko moje nie zobaczy was więcej w tym gaju.... w miejscach tak dla mnie lubych.... nie wspomni nikt o mnie... Ona! ona daleko...

ją ślubny węzeł połączył z tym — kogo kochała....

Ale napróżno siłę się raz jeszcze westchnąć do wspomnień i szczęścia.... — ostatni raz czoło moje śmiertelnym zlało się potem, stygnie ręka — i zdaje mi się że już widzę moją mogiłę, pokrytą krzewiną — może tam kiedy wesoły ptaszek, wahając się na gałązce kolczatego ostu, lub siadłszy na porośłym krzyżyku, zanuci po mnie piosnkę czulą, piosnkę ostatnią — pieśń śmierci!.,

IX.

KAPELUSZ.

Ubiór lekki i z piórem kapelusz ją zdołił;
Ale co ten kapelusz zazdrości narobił!

ZACHAREE. tl. Wyszkowski.

— Pierwszy raz widzę, rzekła po długiej rozmowie aptekarzowa do męża, że tak jesteś oziębły na honor swojego domu!

— Ale cóż ta fraszka może mieć wspólnego z honorem domu, wybijże to sobie asani z głowy.

— Śmieszny człowiek! najmniej-sza rzecz wielki ma wpływ na na-

(141)

sze znaczenie, niech jeszcze raz córka doktora przesadzi moją ubiorem — to i po wszystkiém.

— Po czémże?

— U nas już wielkiego świata nie zobaczysz, uznają nas za mieszczan i dom nasz porzuca.

— Nie wielka szkoda, rzekł aptekarz puszczając kłęb dymu z ust wydętych, mniej będzie życie kosztować.

— No, winszuję pięknego zdania — musiałeś go się waść u Burmistrzów nauczyć. Zresztą, mój mężu, wierz mi, że jeśli Gabrusi kapelusza nie sprawisz, ani na krok nie pozwolę jej ruszyć z domu i sama dla uniknienia wstydu zamknę się u siebie. Jakże ciebie

to nie porusza, że córka doktora była daleko od naszej lepiej ubrana i miała taki kapelusz?

Aptekarz się trochę zamyślił, lecz odwracając głowę rzekł:

— Cóż tam naszej córce kapelusz pomoże?

— Co pomoże! ach! on nasz honor podeprze, i w oczach całego miasta okaże, że my — ty Radzca, ja Radczyni i cały dom nasz powinniśmy pierwszym być w mieście!

Nadał się Farmacy na te słowa, które zaletywały miłość własną, i już sięgał do kieszeni po pieniądze na kapelusz, gdy żona widząc się blisko zamierzonego kresu, dodała.

— Powinieneś szanować swój u-

rząd i siebie i familię — nasza córka przy tém dochodzi lat, w których się koniecznie, chcąc zwrócić oko, stroić potrzeba. Czy rozumiesz mię waś?

Rozumiem, odpowiedział aptekarz wyjawszy rękę z kieszeni.

— Kiedyż już rozumiesz, to cię zaklinam na twój urząd, (Farmacy się wesoło uśmiechnął), żebyś dał pieniądze, a ja zaraz umyślnego posyłam do Międzyrzycza do mojej znajomej modniarki.

Musiał Pan Radzca uleść prośbom i naleganiom drogiej polowicy, która wycisnąwszy podziękowanie na jego twarzy, szybkim krokiem pobiegła córce wesołą opowiedzieć nowinę i wnet wysłać

umyślnego, ażeby kapelusz koniecznie przywiózł przed wieczorem.

— Gabrusio! zawołała aptekarzowa, ciesz się.

— A czego mamuniu?

— Będzie dziś nowy kapelusz.

— Ach! dziękuję mamuni, rzekła całując ją w rękę — a jakąż ja dziś sukienkę włożę na wieczór?

— Białę z falbanami i bawetem.

— Ta trochę krótka.

— No, to wybierz sobie sama jaką chcesz.

— Maciejul! zawołała potem aptekarzowa, okulbacz prędzej konia siwego, pojedziesz do Międzyrzycza.

— Kiedy bo! imościuniu! siodło popsute.

— To pożycz siodła u burmistrza, albo na poczcie.

— A kiedy koń kula.

— I, gapiu, ty tylko mi tu wynajdujesz zawsze jakieś przeszkody — żeby mi zaraz było, kiedy każę i kwita, a nie, to zobaczym. Poszedł tedy z ponurą miną Maciej, a jejmość cieszyła się wcześniej triumfem swej córki, i z nadmiaru wesołości nuciła chodząc po pokojach.

— A cóż, zapytała po chwili, gotów Maciej?

— Gotów, pani!

— No pamiętaj, że kiedy się dobrze sprawisz i wrócisz przed wieczorem z kapeluszem dla panny,

dostaniesz dwa złote na wódkę, a jak nie, to wiesz co cię czeka.

— Bizuny jejmościuniu, odpowiedział najspokojniej i z prawdziwym stoickim postanowieniem Maciej, odchodząc i unosząc na siwym, kulawym koniu wszystkie nadzieje aptekarzowej i dostojnej rodziny. Trudno jest opisać przygotowania na ten wieczór, w którym Farmacy miał tryumfować: prasowano suknie, obszywano kołnierze, gotowano wszelkie drobnostki, a wesołość i ruch nieustanny panował w aptece. — Lecz już i wieczór się zbliża, już trzy służące stają przed zwierciadłem pannę ubierać, jejmość wzięwszy się w boki, stoi przed apteką o-

czekując posłańca. Wychodzi sam Farmacy z fajką w ustach.

— A cóż to tu porabiasz.

— Czekam na Macieja, coś nie wraca długo.

— Ej w czas jeszcze wróci. Zaspokojona mama poszła sama nad własnym strojem przemyślać, a dumna Gabrusia ubrana galowo, oczekiwiała tylko żadanego kapelusza. Już się też i zmierzcha, śpieszą wszyscy na wieczór, a aptekarzowie czekają na kapelusz — lecz napróżno.

Zaprzężono konie, pojazd czeka, niecierpliwi się matka i córka, a jegomość spać się położył.

— O przekłety madzga! czego jemu tam u licha bawić tak długo?

— Może koń w drodze zachorował.

— A gdzie tam, koń zdrów, to być żadną miarą nie może.

— Może kapelusz nie był gotów, to musiał czekać.

— Taż przecie pani Dłubalska mówiła, że tam nie jeden, ale dziecię znaleźć można gotowych.

— To może Maciej się upił.

— I to nie, bo od Sgo Bartłomieja zupełnie wódkę pić przestał.

— A to czemuż nie wraca? rzekła zasmucona Gabrusia, chyba ja dziś bez kapelusza pojadę.

— Ej! on zaraz wróci, już tylko co go nie widać, tylko że później przyjedziem, ale to lepiej, bo już

wszyscy będą, i wszyscy zobaczą twój piękny kapelusik.

Rozśmiała się panienka i pokazała dwa rzędy pięknych ząbków, które dla ponurego i dumnego charakteru gościom całkiem były nieznanne. Gdy się tak wszyscy cieszą i nawzajem upewniają, mija godzina, i druga. Już też i twarze piętno smutku przybrały, wysłano dwóch służących na spotkanie kapelusza, lecz próżno, moje mieszczki całkiem głowę straciły i pograżone w przykrych dumaniach siedziały w pokoju, gdy znienacka wbiegł jakiś zadyszany służący.

Obie porwały się razem i mniemając, że to któren z posłańców

lub Maciej, wybiegły na środek i razem zawołały.

— A co? a co? a co? — Lecz spuściły bardzo smutnie oczy zobaczywszy, że to był służący od Mięty, który patrzył na nie z otwartą gębą i wytrzeszczonymi oczyma.

— Cóż tam powiesz? rzekła zniechęcona aptekarzowa do zdumiałego chłopca.

— Mój pan pyta się czy państwo u nas dziś będą. Na te słowa spojrzwały po sobie matka i córka i zamilkły niewiedząc co powiedzieć, tak upłynęło kilka chwil, nareszcie jejmość się odezwała, że zaraz przyjadą, a chłopiec z równym pośpiechem jak przyszedł nazad pośpie-

szuł. Nastąpiło milczenie i przechadzki po pokoju, będące skutki niespokojności, wreszcie załamując ręce wykrzyknęła aptekarzowa.

— O Macieju! zgubiłeś mię! No proszę co za urwis — i cóż teraz zrobim Gabrusiu?

— Pojedziem i bez kapelusza, ponuro odezwała się pauienka.

— A broń Boże! lepiej nie być, znowuby całe miasto gadalo, że córka doktora lepiej się od ciebie ubiera — Westchnęły tedy obie i napróżno oczekiwały do północy kapelusza, bo Maciej wziął pieniądze i konia i więcej nigdy nie wrócił z Międzyrzycza.

X.

OBLUBIENICY.

Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń
piasku,
Piekielnej wzywał potęgi,
Klął się przy świętym księżycu blasku,
Lecz czy dochowa przysięgi?

MICKIEWICZ. Switezianka.

Emilija od czasu zaręczyn z wiel-
kiem podziwieniem rodziców cią-
gle jest smutna, zamyślona, a raz
nawet zastała ją matka całą we
łzach. Niewiadoma tego przyczy-
na, lecz rodzice żałują już że, o
ile się zdaje, córkę przeciw woli

(153)

zaręczyli. Gurtleib znacznie się tak-
że od tego czasu odmienił — długo
ukrywane wady zaczęły wychodzić
na jaw. Niema już teraz w domu
innego pana nad niego, służący
jemu tylko są posłuszni, sam Pret-
fic nawet szemrząc musi się zga-
dzać na jego grymasy i dziwactwa,
a matka surowo córkę i ojca za
zły wybór ganić zaczyna.

Już i całe miasto brzmi tylko
odgłosem jego wad, a zawczoraj
w głównym kantorze plotek, rzecz
tę następnie roztrząsano.

— Ja tego niepojmuję, mówiła
aptekarzowa, jak się można w kró-
tkim czasie tak zupełnie odmienić.

— A cóż to będzie później? do-
dała burmistrzowa.

— Żal mi Emilii, dodał za żoną Puksztą, dobra to dziewczyna.

— Żeby tak mnie, przebaknęła doktorowa, dawnoby zaręczyny za nieważne uznała, a jegomości odprawiła z kwitkiem.

— Masz pani słuszość, dodał znów gospodarz wyciągając się na krzesło, i jabym zrobił to samo.

— Uważcie panowie do czego to doszło, kiedy pozawczoraj oznajmił Gurtleib, żeby odtąd nikt się nie ważył w domu bez niego ani kolacji, ani obiadu dysponować.

— To jeszcze mniejsza, ale samą pannę narzeczoną to co chwila kryguje i rozprawia, że nieboracze aż łzy w oczach stoją.

— Trzeba nam to jakkolwiek na-

prawić, z zapalem odezwał się Bomba, my jesteśmy głową miasta, i nie mogę cierpieć aby jeden jakiś włóczęga miał tu nam i naszym pannom grać po nosie.

— To i cóż zrobić?

— Trzeba, rzekł Bomba, nabrawszy ważnej i napuszonej miny, trzeba namawiać Pretficów aby zaręczyny za nieważne uznali.

— Nie można Mości Dobrodzeju! z drugiego końca pokoju odezwał się burmistrz, co się stało, odstąć się nie może.

— Ot to także, krzyknęła obrażona doktorowa, gdyby jakiś chłystek jak ten chciał tylko po zaręczynach tak sobie panować! Takbym go wygoniła, żeby się gdzieś

oparł za trzecimi drzwiami. Wiesz pan że ludzie i od ołtarza odchodzą, ażeby też po zaręczynach nie można było jegomości powiedzieć, że z tego nic.

— A potem co za zaleta, ani koczka niema, ani karety — jużbym ja swojej córki nie dała.

— Ani ja.

— Ani ja, ale trzeba koniecznie jego wyforować, trzeba Prettficom wmówić, żeby przecie znali swoją godność. — Taż to jeszcze nie poślubie.

— To właśnie i dobrze, że pan młody przed ślubem pokazał co umie — ja w tém jestem, dodała burmistrzowa, że z tego nic nie będzie.

— Ale to jeszczeście państwo nowych rzeczy o nim nie słyszeli: on to słyszę czterech jakichś swoich kolegów sprowadził tu do miasta i w domu Prettficów ulokował, oni ich muszą karmić, odstąpili im nawet dwóch pokoi.

— A co to, to rzecz niesłychana. W imię Ojca i Syna, co by to po ślubie było!

— Co się tycze tego, rzekł Mięta zażywając tabakę, to tego za dawnych czasów nie bywało. I jakież przecie systemat ma ten pan Gurtleib? co on myśli?

— Zabrać posag, złapać pannę i siedzieć na karku rodzicom.

— Będziemy wszyscy usiłowań dokładać, ażeby to w łeb wzięło.

— Ot, wiecie co, rzekła z cicha doktorowa, użyjmy za narzędzie Kleofasa, to on go prędko wysadzi, czyżby nie lepiej było, żeby on się z nią ożenił.

Skrzywiła się na to cała familija burmistrzów, a sama jejmość dodała — Wprowadzilibyście pannę Emilję z deszczu pod rynnę.

— A to czemu? zapytał Bomba. Wszyscy umilkli, a moi protektorowie postanowili wszelkich sił dołożyć do przywiedzenia do skutku zamiarów, pod warunkiem że będę musiał, jeśli się wszystko uda, kupić kocz i powieźć nim na przejażdżkę całe dostojne towarzystwo. Bomba w charakterze posła odebrawszy pół kopy zleceń rozma-

tych, i w towarzystwie Mięty danego mu dla łatwiejszego wyłuszczenia rzeczy, wyszli skutkiem obrady z apteki, a jejmość mną się opiekując wytknęła jeszcze głowę z okna, gdy już byli za drzwiami i raz jeszcze zawołała na Bombę: — Ależ tylko proszę rozumnie, nie zapomnij wać o koczu!

Siedziałem właśnie w tej chwili w moim pokoju, w lubém mojem schronieniu. Jedną ręką podparłem się na stole, drugą machinalnie przewracałem leżący przedemną jeden tomik Sonetów Petrarki Litewskiego. Zadumałem się, wlepiłem oczy w jeden wiersz, a usta moje machinalnie powtarzały.

Usta się spotykają, oko ginie w oku,
Łza ze złą i z westchnieniem miesza się
westchnienie!!

Spadła wprawdzie wówczas i
z moich oczu łza gorąca — ale,
westchnąłem na to — nie zmieszała
się z żadną inną łzą. Jeszcze tak
siedział podobny posagowi, gdy
się drzwi otwarły, a za nimi sły-
sząc się dało:

— Niech pan dobrodziej wcho-
dzi — Proszę iść — Ale bez ceremo-
nii. I w tej chwili, gdy to mówili,
oba chcieli wejść bez ceremonii
pierwsi i uwieźli w drzwiczkach;
cienka jednak figurka Mięty, łatwiej
się wewnątrz wsunęła, a Bomba
wszedł powoli, po kilka razy u-
parte drzwi za sobą zamykając.

Trudno tu było wynaleść jakies
zgrabne zaczęcie, spoglądali oba
po sobie, nareście doktor temi sło-
wy zaczął rozmowę.

— Wiedząc, iż pan niedomagasz
na ciele, i że systemat fizyczny je-
go ukryty jakiś gnieździ w sobie
defekt, przyszlśmy tu na chwilę
go ze smutnych myśli rozerwać i
razem — zaradzić o ile można je-
go słabości.

Rumieniec wystąpił mi na twarz,
gdym usłyszał wzmiankę o słabo-
ści umysłowej, to jest: miłości.
Prosiłem jednakże siadać, i w te
się słowa odezwałem:

— Miło mi bardzo przekonywać
się, żem u nich na jakąkolwiek
zasłużył pamięć i nieskończenie je-

stem wdzięczny za ich o mnie staranie.

—Tylko proszę bez komplementów! lepiej szczerze powiedzieć, rzekł Bomba siadając, żem rad z waszego przybycia i kwita.

—Tak, dodał doktor, co się ty-cze komplementów, tych wcale za dawnych czasów nie bywało; terazniejszy nowo-modny systemat, popsuł staro-polską prostotę.

—No, przerwał Bomba, jakże tam idą miłośne interessa? cóż się jegomości z panną Emiliją nie udało.

Milczałem, a gdy nikt rozmowy nie zaczynał, rzekłem po chwili-cie zcicha.

—Tak! ale dziś piękny mamy wieczór.

—Nie idzie tu o wieczór, zawołał śmiejąc się dowódzca regimentu półmisków; ale o serduszeko waszeci.

Nowa bięda, co tu mówić, jak tu odpowiedzieć? podpomógł mi jednak doktor, mówiąc:

—Wiemy już o wszystkiém, nie potrzeba tu wcale kryć się; owszem szczerze pan nam powiedz, czy chciałbyś się ożenić z panną Emiliją?

—Do czegoż dąży to zapytanie? rzekłem zdziwiony, a choćby i tak było jak pan powiadasz, wszakże już niema żadnej nadziei.

—Do ostatniego, póki w czło-

wieku puls bije, poważnie powiedział Mięta, nigdy tracić nie trzeba nadziei. Wszystko jeszcze można poprawić, wszystkiemu zaradzić.

— Tak, dodał Bomba, powiedz pan tylko szczerze, jak się miały interesa, i bądź pewny, że nas do tego badania próżna tylko ciekawość nie wiedzie, ale własny jego interes.

— Umhu! interes, przebąknął Mięta zdziwiony wymową traktjernika, własny jego interes.

Rad nie rad tedy, zacząłem długą legendę, którą czytelnik ziewając w pierwszym i tym tomie czytał. Gdy mówiał, oczy posłów zwrócone były na mnie; Bomba

wzruszał czasem ramionami, a doktor uśmiechał się złośliwie.

— No, terazże ja panu powiem, rzekł Mięta gdy skończył, co masz robić. Trzeba nanowo zacząć bywać u Pretficów; znowu, nawet... nawet przy jej przyszłym stroić koperczaki.

— To być nie może, odpowiedziałem prędko, Emilija rozumie że jestem niestały, że się kocham w Burmistrzównie, że zwodzę córkę Pocztmajstra.

— Przeciw temu jest remedium, rzekł Mięta, a usunięcie tej zawady do nas należy. Pan tylko ze swej strony częściej znowu zacznij bywać u Pretficów, powoli wystaw

im sprzeczność między sobą a rywalem, a my reszty dokończym.

Podziękowałem natychmiast moim przyjaciółom i w skutek ich rady, ubrałem się i poszedłem do Pretficów. Rozmyślając nad niestałością losu i charakteru ludzkiego minąłem fórtkę i wszedłem do pokoju. Ale! jakiż widok przedstawił się mym oczom, gdy wszedłem!!! Widok, który mię do łez prawie poruszył, ale którego mimo szczerých moich chęci w tym rozdziale opisać czytelnikom nie mogę.

XI.

ROZMAITOŚCI.

Świętej miłości, szczerzej przyjaźni,
Kto znał i cenił ogniwa,
Byłże szczęśliwym ?? śnie wyobraźni!
„Ona — nie była szczęśliwa!”

ODYNIEC.

Kłęczała Emilija u nóg ojca i matki, twarz ukryła w rękę, zdawała się coś mówić; ojciec ponuro w ziemię patrzył, matką cieśzyła córkę sama łzy lejąc, a Gurtleib przechodził się po pokoju z twarzą złośliwą i urągającą się

i z założonymi rękoma. Wszyscy się mojem przybyciem niezmiernie zmieszali, i usłyszałem jeszcze z ust mego rywala wyrazy:

— Napróżno! nic mi teraz z rąk ani jej posagu, ani jej samej nie wydrze!!

Zarumienilem się cały ze złości, prędko wbiegłem do pokoju, a gdy miłość dodała mi odwagi, z równą śmiałością mierząc przeciwnika mego oczyma wykrzyknąłem:

— Ja! ja ci odbiorę niewinną ofiarę!!

— A witam, oziębłe odpowiedział Gurtleib, radziłbym się nie mieszać w interesa familijne, żebyś pan tego nie pożałował; pro-

szę mi w moim domu impertynencji nie robić!

— Nie uwodź się próżną nadzieją, dom ten twoim nie będzie! odpowiedziałem, patrz! rzekłem ukazując mu papier który w sieni przypadkiem znalazłem, i uznaj, że twoje występki są już znajome światu!

Zbladł na te słowa spokojny i zuchwały rywal; Jegomość zdziwiony spojrzał na mnie, sama pani osłabła, a Emilija zdjęła obrączkę z palca i rzuciła ją ze wzgardą. Drzwi były blisko; orderowy jegomość chciał się niemi wynosić, lecz śmiało zastąpiłem mu drogę.

— Zrzecz się, rzekłem, kontra-

ktu i zapisów, uznaj zaręczyny za nieważne, a wtedy puszcze cię — inaczej, w tejże chwili będziesz pod wartą, ty i twoi towarzysze!

— Ale mię puścisz? rzekł stłumionym głosem zbrodniarz.

— Przysiąż! krzyknąłem nań, że nigdy w kraju nie postanie twoja noga, a w ówczas wolno ujedziesz — jeżeli cię gdziekolwiek bądź zobaczę, wnet podaję doniesienie — a wiesz jaka cię kara czeka!

Ze drżeniem zniweczono natychmiast ślady hańbiącej umowy, a Gurtleib rzuciwszy na mnie wzrok pełen złości, z rozpaczą się oddalił. Po jego wyjściu nastąpiła chwila milczenia, a w oczach Emilii uj-

rzałem znowuszczyć moje. Pretfic dziękował mi jak swemu zbawcy i w chwil kilka dostałem przyrzeczenie otrzymania ręki mojej kochanki.

Wszystkim na świecie los rządzi; gdyby nie kartka którą w sieniach znalazłem, możeby do uskutecznienia zamiarów potrzeba było zabiegów, któreby jaki tomik trzeci zajęły! A teraz gdy się wszystko do rozwiązania zbliża, niepo mału cieszyć się musi czytelnik, że już nudzić się nie długo będzie.

Niedługo slyszełiśmy zajeżdżającą brykę i rywala mego z towarzyszami uciekającego z miasta.

— O droga Emilijo! rzekłem do niej gdy się wszyscy oddalili, cóż

cię mogło nakłonić do oddania mu ręki.

— Twoje postępowanie, odpowiedziała z wymownym wzrokiem, myślałam żeś o mnie zapomniał, i postanowiłam odplacić ci się wet za wet — aleś ty mnie oszukał, dodała z uśmiechem.

Te i tym podobne rozmowy zajęły mi godzin parę, a wkrótce wyszedłem oznajmić moim protektorom, że wszystko pomyślnie się ukończyło.

Zaledwie wyszedłem, spotykam Miętę idącego w głębokiem zamyśleniu także do Pretficów, zatrzymuję go tedy.

— Witam, rzekłem, a dokąd?

— Dążę, odpowiedział głosem poważnym, tam, z kąd pan wracasz zapewne bez skutku.

— Nie masz pan tam już czego się trudzić.

— Jakiż bo z Waćpana gorączka, nie desperuj, wszystko jeszcze można naprawić.

— Ale rzeczy już żadnej nie potrzebują naprawy.

— Jakto? abo co?

— Wygoniłem pana rywala z miasta.

— Nie żartuj Waść!

— Istotnie.

— I dla czegoż to tak prędko? jakimże sposobem?

— Bardzo krótkim, kazałem mu się wynieść i kwita.

— To i cóż z tego?

— Jutro będą zaręczyny.

— Bredzisz Wasan i mówisz prawdziwie jak w gorączce, co się tyce tego, to nigdy nie uwierzę.

Rozśmiałem się z niego i jego niedowiarstwa, i musiałem mu rzecz całą porządkiem opowiedzieć. Zżywał ramionami, dziwne stroił miny i zażywał tabakę, a w końcu spartłszy się na swojej lasce ze zwykłą powagą, wyrzekł:

— Wybornie! rzecz idzie dobrze, tylko to coś nadto prędko.

— Tym lepiej, odpowiedziałem zmierzając ku memu mieszkaniu, a Mięta stał jeszcze podparty na lasce, w jednym ręku trzymając

tabakierę, na którą miał zwrócone oczy.

— Janie! zawołałem wbiegając, zawołaj do mnie gospodarza.

— A to naco panie? była odpowiedź ciekawego prostaka.

— Chcę cały ten dom nająć?

— A to można, bo dziś wyniósł się ten kapitan co tu stał, a gospodarz wywiesił właśnie tabliczkę.

— Chwała Bogu!

— Ale, dodał Jan wpatrując się we mnie, naco panu tyle pokoi? nam i w tych nie było ciasno.

— Ale teraz mogłoby być ciasno, bo...

— Co panie?

— Bo.... dodałem przewracając

papiery na stoliku, bo.... ja się żenię.

Rozśmiał się Jan z radości, zaczął długie w niezrozumiałym stylu powinszowanie, a wkońcu dodał zeicha:

— Czyż pan nie powiesz swemu pocziwemu słudze, z kim?

— Z panną Emiliją, podchwycilem prędko kładąc szlafrok.

— I nacóż pan ze mną żartuje? niby ja nie wiem, że ona zaręczona.

— A przecież kto inny ją weźmie, nie ten z kim zaręczona, rzekłem z uśmiechem.

— Niezrozumiałe są słowa pań-

skie, przebaknął Jan odchodząc; a ja tymczasem usiadłem w oknie spokojnie dumać o przyszłym szczęściu i przypatrzeć się czy też cały świat tak wesół, jak ja i moje serce. Dzień się już kończył, słońce kilką urywkowych promieni rumieniło obłoki, wietrzyk lekki poruszał gałązki drzew; w domach krzątano się około przygotowania wieczery; kilku świszczypałków szło na przechadzkę ze swymi kundlami, Burmistrz z dostojną familiją szedł użyć świeżego powietrza; w Aptece wszystkie okna były otwarte, a z nich wyglądała spokojnie kolekcja rozmaitych nosów, oczu, głów i postaci. Kilku księży postępowało wolnym kro-

kiem ze spuszczonymi oczyma, w małych czapczkach, szerokich habitach, z kościanymi różańcami i paskami, które im się koło nóg uwijały. Nikt jeszcze w mieście o śpiesznym Gurtleiba wyjeździe nie wiedział i wszyscy zostawali w tej spokojności, jaką brak przedmiotów do roztrząsania nadaje. Mięta cały przejęty dziwném mojem opowiadaniem, biegł co siły oznajmić dostojnemu towarzystwu o tak prędkiej zmianie położenia. Jeszcze był na ulicy, a już dumać musiał o wielkiem wrażeńiu, jakie uczyni jego nowinka. Laska szybko się okręcała w rękę, nogi formowały w powietrzu gzygzaki, poły od fraka jak wieżowa chorąg-

giewka uwijały się około niego, kapelusz za każdym ruszeniem, to zakrywał oczy, to się na tył zsuwał, oczy nabrały nowego ognia, a usta i głowa wprawiały się w gładkie ułożenie dziwnej wiadomości. Jak piorun wleciał do Apteki — a wszystkie głowy z okien znikły. Kiedy tak siedziałem i rozmyślałem nad wypadkami niespodziewanemi dnia tego, kiedy mój Jan pobiegł plotkę roznosić, kiedy w Aptece wszyscy z otwartymi ustami słuchali powieści doktora; szedł właśnie ulicą pan Słomka z całą familią i panem Bombą — Pan Stolnik w obcisłym żupanie, z nisko podwiązanym pasem, i w wysokiej czapce białego

koloru, postępował zwolna i poważnie, rzucając niekiedy wzrok ciekawy, czy też kto jego ważnej figurze się przypatruje. Rozmawiał powoli z towarzyszem przechadzki tonem, który żadnej sprzeczki nie dozwalał, a czasem też częstował go tabaką z miną czyniącego komu łaskę. Jejmość we floransowym szlafroczku, w czarnym kapeluszu, z workiem w ręku, szła rozmawiając z córką, która powoli z jej chodem zgodzić się starała. Dwóch małych swawolników biegalo tam i sam przed niemi, a ów czuły Grześ, siedł z napuszoną miną za niemi. Tym porządkiem wszyscy udali się na przechadzkę, zaczęło się zciemniać,

zaświeciły światła w pobliskich oknach, a cienie osób chodzących w środku domów, pokazywały się na zapuszczonych firankach.

Pod mojem oknem, będącém zwykle miejscem schadzki mieszczan, znowu się zeszło kilku jakichś obdertusów i zaczęli rozmowę.

— Oj panie Bartłomieju! mam ja do waszeczki urazę.

— No!

— Waszeczine indyki szkody mi w ogrodzie narobiły.

— To waść ogród zamykaj.

— A waść indyków nie puszczaj samopas.

— Ej niema o co się kłócić, to

bagatel; ale wiesz aś, że szynk
na Wolskiej ulicy zamknięto?

— A dobra tam była wódka!

— O! wcale niezła, bywałem i
ja tam czasem wolnym.



XII.

HISTORYJA REFORMACKIEJ ULICY.

Bóg cię bronil iść przez lochy,
Gdzie czarownic sprośnych fochy!

Gdzie tańcuja

Z djablów szują;

Świeće gaszą

Wiernych straszą.

Gdzie bazyliszek leży

A kto nań tylko nabieży,

Wnet on podobny do kury

Zirknąwszy nań z ciemnej dziury

Oślepi, ogluszy,

Wywróci jak snopa

I już niemczyków kopa

Tańcuje koło tej duszy.

*Dedykacja pobożnych refle-
xij X. BAKI o śmierci, p.L.B.*

Ponieważ już teraz czytelnik ma-
ło się o mój los troszczy, bo ten

jest ustalony, nie od rzeczy będzie, gdy mu tu opiszę historyją jednej ze sławniejszych ulic naszego miasta, i jej czcigodnych mieszkańców. Bo dla czegożby prosić mniej zajmować miała historyja Reformackiej ulicy, niżeli opis malej Bretanii u Irwinga? chyba dla tego, że tamta lepiej jest napisana, a co się tycze przedmiotu, ten, ile mi się zdaje, zarówno jest interessujący. Uliczka ta leży w samym środku miasta, a mówiąc po wschodniemu, w sercu samego miasta, rozciąga się wzdłuż ciemnego cmentarza, klasztoru i kościoła Reformatów, składa się z drewnianych, pochylonych domków, a otoczona jest drzewami. Mieszkańcy

jej są poczciwi mieszczanie, drobna szlachta i rzemieślnicy, którzy w całym swym życiu nie widzieli wyższej wieży nad Reformacką, piękniejszego kościoła nad Reformacki, większego domu, nad klasztor i traktijer, którzy nareście od początku w innym, oddalenszém mieście jak Międzyrzecz, nie byli.

Ich wyobrażenia rzadko za sferę malej uliczki wychodzi, filozofiją stanowią kazania Ojców Reformatów, organista w ich rozumieniu zjadł wszystkie umiejętności, historyczne wiadomości ograniczają się w obrębie ślubów i chrzcin, słowem są to ludzie, którzy już to starym zwyczajem, już przywiązaniem do domowości, mało wszy-

stko to cenia, co się jej nie tycze, którzy w szczęśliwych zabytkach prostoty zachowują jeszcze odłamki podań właściwych ludom w młodzińczym wieku zostającym, których wyobrażenia przygłusza i przytępia niejako działania rozumu. Nigdzie nie krąży tyle dziwnych podań ile na Reformackiej ulicy; nigdzie szewcy nie gaszą w sobotę świece prędzej z bojaźni, aby po północy djabeł nie przyszedł im na pomoc, jak tutaj; nigdzie dziewczęta w wigilią nowego roku, nie zepsują tyle wosku i cyny, dowiadując się o przyszłym losie, jak na tej odosobnionej uliczce; nigdzie nakoniec weselej nieprzepędzają zapust; nigdzie nie ma wię-

cej skrzypiec o trzech strónach i fletów bez klapp, jak w tém ustroniu. Wszystkie twarze, jakie się tu pokazywać zwykły, są najczęściej *in quarto* i *in octavo*, a męskie częstokroć i *in folio* pokazywać się zwykły. Mieszkańcy mają także swoje epoki jak i inni; pierwszą, najdawniejszą stanowi przygoda szewca przezwanego Szydłem, którą pokrótce opowiem. Stara Wincentowa z Reformackiej ulicy, powiada: że za jej młodości ten człowiek grał wielką rolę na małej uliczce, że co niedziela tańcowano u niego do północy, że u niego obiad nie obszedł się bez piwa, a w święta bez wisznia-ku, słowem iż to był człowiek bo-

gaty. Lecz powiadano że się trudnił robieniem złota, bo widywano u niego jakieś dziwne naczynia, a w nocy gęsty dym kurzał się z kominu i jasne światło, pokazywało się przez szczeliny w drzwiach i oknach. Raz nawet, jeden z odważniejszych sąsiadów wracający z szynku, gdy się ośmielił zajrzeć przez szczelinę, o mało nie umarł ze strachu, ujrzawszy wyraźniutko w jego izbie trzech djabłów. Chociaż sąsiad był wówczas pod dobrą datą, uwierzyli mu jednak wszyscy, a odtąd rzadszemi bywały odwiedziny u pana Szydła. Tu zwykła Wincentowa cichszym głosem dodawać obróciwszy oczy na wszystkie strony, że wkrótce dzi-

wny człowiek znikł z miasta — a gdy przetrząsano dom, znaleziono jeszcze kilka butelek białej wody, która padając na drzewo lub co innego paliła na węgiel, a którą kazał ksiądz proboszcz głęboko zagrzebać na cmentarzu.

Drugą pamiętną epokę stanowi na małej uliczce świeższe trochę zdarzenie, lecz niemniej dziwne z krawcem Maciejem Igliczką.

Była to wyrocznia sąsiadów, bez niego nie obeszła się żadna uczta, on grywał na flecie i popsutym pozytywku, on najlepiej śpiewał piosneczki dla dziewcząt, a w końcu całe miasto nie miało na dzień piękniejszego młodzieńca. Chodził zwykle w kurtce naszywanej je-

dwabnymi sznurkami, w czerwonej, na bakier włożonej czapeczce, w opiętych spodniach i bótach tak obcisłych, że pod niemi noga jego była tak mała jak nóżka panny stolarzównej. Cudownie miał skakać kozaka, a cała młodzież otwierała szeroko usta, kiedy ruszył hółpca lub przysiudy. Pomimo swego stanu pani Wincentowa utrzymuje, iż był arcy uczonym, bo kiedy czasem ją rozmawiał z Gwardyanem lub Lektorem, to nikt nie mógł go zrozumieć. Jego pokój był składem książek, na których, jak wieść niesie, nawet poprzednik pana Gapielly czytać nie umiał. Wszyscy go kochali i poważali póty, póki ów to mędrzec

nie zaczął nagle kwaśnieć. W pewnym bowiem przeciągu czasu pozwoli tak skwaśniał, jak ocet siedmiu złodziei, a w kilka tygodni on i stolarzówna Bóg święty wie, gdzie się podzieli. Byłóż to wówczas na całej ulicy czego słuchać, majstrowie rzucili roboty, stare kumoszki latały jak oparzone z domu do domu, wszystko było w ruchu — ale czas tak dobrą dozę lekarstwa dał wszystkim, iż zapomnieli o Macieju Igliczce, i czasem tylko, kiedy który krawiec źle uszyje, westchną po dobrym, pocziwym Igliczce. Najznacniejszy dom na Reformackiej ulicy, jest duża ciemna kamienica, pruskim murem zrobiona. Dach jej podnosi

się o tyle nad ścianami, o ile ściany górują nad ziemią, rząd popękanych kolumn utrzymuje drżący ganek, pół tuzina wysokich, okopconych kominów strzeże górnych krain dachu, a skrzypiąca choro-ragiewka w kształcie koguta wyrobiona, dotąd kręci się jeszcze w atmosferze tego pałacu.

Okna składają się z małych szybek rozmaicie poukładanych, na facyacie widać dotąd wypłowiwały znak bociana, który ongi służył za godło domowi. Z jednej strony, przestronniejsieni jest szynk sławny, miejsce schadzki klass wyższych, w którym co niedziela brzmi troje skrzypiec o trzech strónach, basetla bez podstawka i bęben

dziurawy, dla uciechy gości. Komin pełny zawsze suchych drewek, a na sam jego widok ciekawe ucho radeby posłyszeć wszystkie powieści, które w tém miejscu od założenia szynku opowiadane były. Stoły zastawione są doborną eskadrą flasz i kielichów, okna zdobią girlandy (po polsku *nizanki* albo *równianki*) ze świeżych, sporych, łakomych obwarzanków, a rumiana gosposia nócąc piosnkę stoi we drzwiach, czatując na przechodniów. Na drugiej stronie rzemieślnicze odzywają się warsztaty, ale zapach przebrzydłego tytoniu nie dozwala mi się do nich przybliżyć. Tuż naprzeciw, ze strachem to wspominam,

przezroczysty parkan otacza grobowe ludzi mieszkania. Smutnych kilka jodeł i gęstych lip, otacza smutniejsze jeszcze mogiły i kilka pamiątek, które ludzie śmierci poświęcili. Tu i ówdzie bieleje wśród nocnych ciemności kawał kamienia, tam pochylony i zbutwiał krzyżyk drżemie nad mogiłą wieśniaka, gdzieindziej wysoki olbrzym uciska ostatki dumnego pana. — Ale, strach bierze, gdy przyjdzie mówić, co się to dzieć zwykło koło północy!!(?); wychodzący z szynku widują czasem na tym cmentarzu tak dziwne rzeczy, że i Bazylipek pocziwego X. Baki, Pannie świeć nad duszą jego, tym opowiadaniom nie sprostą. Przeszle-

go lata, czasu okropnej burzy słószarz miał widzieć, iż na grobie pewnego francuza, duchy jedne tańcowały kadryla, drugie coś niezmiernie deklamowały (pewno Rasyne) — ale to potrzebuje potwierdzenia. Jedna z kumoszek wracając od sąsiadki, gdy szepeć pacyorki idzie około cmentarza, aż oto słyszy bardzo wyraźnie, jak ktoś wrzasnął: *ze czterdziestu!!* a potem: *dwadzieścia czerwieni!* ogląda się, aż to — na grobowym kamieniu para duchów gra w marjasza!! Ledwie że się nieboraczka zawlekła całą przelekniona do domu i trzy dni z przestachu chorowała. Młoda Marysia miała także blisko cmentarza straszny wypa-

dek. Posłała ją matka późną godziną samą jedną po ocet, czy też pieprz do sąsiadki — aż tu ledwie ona śpiesznym krokiem mija kościół i cmentarz; duch jakiś, ale to dalibóg z jego strony niegrzecznie, uchwycił ją za rękę — i — Bóg wie coby to tam więcej było, gdyby nie krzyk Marysi, która co tchu od ducha do sąsiadki uciekła. Wnoszę jednak, iż duchy muszą być rozmaitego rodzaju, bo, jak dziewczyna mówiła, ów to napastnik nie był wcale zimny, owszem kiedy zbliżył usta do jej twarzy, nie słysząc było z nich smoły ani siarki — ale wyraźnie doskonała anyżówkę!! Tysiące powieści krąży o tym cmentarzu mię-

dzy mieszkańcami Reformackiej ulicy, którychbym ja nawet bez drżenia powtórzyć nie śmiał; ale mniejsza o nie! idziemy dalej. Drugi dom ważny i znaczny jest własnością owego to majstra pijaczyny, który pod mojem oknem dwa razy rozmawiał. Jest to budowla sporą, gęsytm otoczona ze wszech stron drzewem, dach jej spiczasty panuje nad innemi budynkami, jak baba wielkanocna wśród placków.

Okna nad samą ziemią, okiennice zaś wiszą ze stron obu dziwiąc przechodniów malowidłem, którego dotąd ani czas, ani sloty, ani ręka ludzka nie popsula. Na jednym pokazuje się krąg kielichów i butelek, a w środku szczupak, będący

godłem szynku *bywszego* tu niedyś, na drugim zaś boku postawiono stół, którego obsiedli dostojni mieszczanie. Przypatrzmysię zbliżka zabytkom sztuki malarskiej: oto jakaś figura bardzo do Macieja Igliczki podobna, też samą kurtka, też czapeczka, tenże obcisły bó-cik! To on! jego to pamięć uczcił malarz na okiennicy! Dalej — cóż to za jegomość z pańską miną, który hojnie wszystkich częstuje, a przed nim leży worek złota — przysiągłbym że to drugi ów sławny jegomość na Reformackiej uliczce, pan Szydło; więcej osób dla braku historycznej wiadomości o nich rozpoznać nie mogę. Z żyjących osób na tém ustroniu najznacniejszą jest

niejaki jegomość pan Mazęga, rodem z Warszawy, edukacją z Pra-gi, majster, który po ś. p. Igliczce najlepiej ścina poły od fraków i surdutów. Postać jego okazuje człowieka poczciwego i pracowitego, twarz ma rumianą i wesołą, oczy żywe, chociaż nieco długimi brwiami przyćmione, brodę okrągłą i dużą, usta szerokie i wykształcone w kształcie łuku kupidy-na, a nos średniej wielkości lśnią-cy i garbaty. Nosi zwykle długi surdut dawnym krojem, szerokie spodnie, chustkę w pasy i czapkę wyszywaną srebrem. Na każdej stypie dziad, na każdym weselu swat, wszędzie go pełno, a z nim zwykle przychodzi wesołość. Jest

to pewien rodzaj filozofa z Reformackiej ulicy, utrzymuje on że człowiek jest stworzony na to, ażeby nigdy o jutro się nie troszczył; w jego przekonaniu nie ma na świecie nieszczęśliwszego człowieka nad tego, który troszczy się bez końca przyszłością, a nie umie tém, co ma dzisiaj się cieszyć. — Szczęście prawdziwe w jego mniemaniu ma zależeć na tém, aby jak najwięcej dobrej chwili użyć, a jak najmniej nieszczęściu ulegać. Powiedzieć mi zwolennicy filozofii czy to zdanie nie jest warte, całej mądrości stoików i perypatetyków? — a jednak ono, wcale z Ceramiku Platónowego, ani z krużganków ateni-

skich, ani z ogrodu Akadema nie pochodzi, tylko z małej, nędznej Reformackiej uliczki?



XIII.

W E S E L E.

I już Ksiądz związał ręce nowej pary,
Goreją gmachy światły rozlicznemi,
Gną stoły srebra i potraw ciężary,
Piękna Helena błyszczy przed wszystkiemi.
Śmiechów, radości, gwar się jeszcze szérzył,
Gdy zegar pierwszą godzinę uderzył.

NIEMCEWICZ. *Alondzo i Helena.*

Dobrze to mówił pan Mięta, że
póki w człowieku puls bije, póty
nie można tracić nadziei! Często

(203)

w tém naszym życiu przechod-
zim bezpośrednio ze szczytu szczę-
ścia, w przepaść cierpień i bo-
leści; często też znowu niespo-
dziewanie może nam zajaśnieć
gwiazdka pomyślna! — Lecz
raczmy na chwilę się zastanowić!
— podobno w urojeniu naszym
istnieje tylko szczęście i nieszczę-
ście. — Z daleka mniemana szczę-
śliwość widzi się nam w najpię-
kniejszych kolorach — zbliżamy
się — pękła bańka, znikły kolo-
ry, a z mniemanego szczęścia nie
prócz kilku wspomnień nie po-
zostaje — Ale dość tej gawędy, któ-
ra w rozdziale wesolym wcale
mieć miejsca nie powinna; idźmy

do rzeczy. Otóż właśnie chodzę po moim pokoju, patrzcie co się tu dzieje, wszystko mi dzień weselny do góry nogami przewrócił. Kazano pokoje porządkować, wyrzucano książki i papiery! — nawet papiery! Tam gdzie wisiał obraz Kochanowskiego, kazano zawiesić zwierciadło, a mego kochanego poetę wyniesiono do składu — już też to zgorzenie! — Nie! oczy moje nie zniosą podobnych nieladów, nasuwam kapelusz na uszy i wychodzę. Lecz niespokojność w tym dniu wszędzie idzie za mną; zmiana stanu, położenia, i sposobu życia ciągle mi stoi na myśli.

W takichto rozumowaniach upływa dzień cały, zmierzch nadechodzi — i dreszcz przebiega po mojem ciele. Już od półgodziny panna młoda stoi przed zwierciadłem, już napsuto wstążek, szpilek, paciórerek i t. d. Patrz! jak pięknie w jej włosach odbija ten wieniec z rozmarynu i mirtu, w jej oczach błyska łza radości, piersi podnoszą lekkie westchnienia, biała szata niewinności okrywa anioła piękności i dobroci.

— A wstydźże się panie młody, zawołał Bomba na mnie, gdy m sparty na ręku wpatrywał się w Emiliją, wstydź się, wacan do tej pory nieubrany!

Piorunem dla mnie był ten wyraz przypomnienia, jak ptak poleciałem do siebie.

— Janie! zawołałem, prędzej ubieraj mnie!

Tu się zaczęły długie przybory, nim się można było zdecydować co włożyć. Po długich wreszcie korowodach, po przypięciu bukiecika, ujrzałem przed mój dom zajeżdżający pojazd, który mię miał zabrać. Mimowolnie westchnąłem na ten widok, pomyślawszy że wrócę do mego domu skrepowany przysięgą, chociaż miała — ale zawsze przysięgą. Już widziałem z tego okienka, z którego wprzód oziębłem na wszyst-

ko okiem patrzyłem, widziałem zapalone światła w kościele, widziałem tłum ciekawych cisnących się do drzwi; spojrzałem raz jeszcze, jakby żegnając wszystko co mię otaczało i — wyszedłem. Raz jeszcze przebywałem tę sławną fórtkę, która przeciw zwyczajowi w tym czasie na roścień odemknięta była. Wszędzie ruch niezwykły, nikt słowa wyrzec nie może, stary Pretfic heraldyczne skarby powynosić musiał z bolem serca do drugiej ciasnej izdebki, sam zaś chodzi teraz po pokoju dziwnie patrząc na liczne w swoim mieszkaniu przemiany. Uśmiecha się tylko czasami widząc niezwykły pośpiech żony, która z jednego kąta w dru-

gi przebiega, ustawia, poprawuje, wiesza, przybija, a czasem i łaje sługi za powolność i niezgrabność. Lecz już czas wybierać się do kościoła. Ksiądz czeka ze stulą i oracją, organista napróżno przebiega klawisze organów, próżno oczekują ciekawi w ławkach, na ambonie, przy ołtarzu i na chórze — czas się wybierać. Jedziemy do Fary i zastajem księdza Wikarego, który się umyślnie na ten akt uperfumował i ufryzował, stojącego przy ołtarzu, w komży delikatną rączką jakiejś pobożnej duszy wyszytą i oczekującego nas tylko, dla zaczęcia. Mamże się tu jeszcze rozwozić jakieśmy oboje wymówili *tak!* stanowcze, jak

nam drżały ręce, które na wieki złączono, i jak później z całą mocą i energiją organista, głosem sowy poruszającym, zaintonował: *Veni Creator!* Liczne zgromadzenie towarzyszyło nam do domu; kobiety wystrojone jak najświeżej, mężczyźni według mody dawniejszej; a to wszystko w następny sposób.

Pan Pretfic był w obywatelskim mundurze, w białych spodniach i palonych bótach, z dobrze wyciągnioną wstążeczką orderową. Samą pani wydobyla, z dawno zamkniętego kufra, suknię aksamitną, zdobił ją także grzebień perłami

sadzony i kołnierzyk unoszący się w około szyi.

Pan Burmistrz przywdział galowy ubiór, kapelusz stosowany trzymał pod pachą, szpada wisiała i dzwoniła uderzając o ogromne do góry zakrzywione ostrogi. Burmistrzowa z oczyma, któremi rada była wszystko razem obejrzeć i wysłedzić, w ukrochmalonej perkalowej sukni, z bukietem róż na głowie i wachlarzykiem siedziała u rogu kanapy. Lecz nad wszystkich ubiorem moi protektorowie celowali. Proszę wyobrazić sobie traktijernika z dobrze wyhodowanym brzuchem; we fraku świeżuchnym, w spodniach po kolana trykotowych, w białych pończo-

chach i trzewikach, które od lat przynajmniej dziesięciu świata nie widziały. Dziwnie wydawała się jego postać otyła, przy cieniuchnych nóżkach, i niedbale przypiętym bukieciku z jażminu i róży. Pan Mięta z ogromnym na palcu pierścieniem, z potrójnym wystającym gorsem, z ufryzowaną peruką, przechodził się poważnie po stacyi, a twarz jego okazywała pewną mieszaninę dumy i głupstwa. Panna młoda bawiła się jeszcze z pannami i stanowiła jakoś pośrednią osobę między mężatką a panną. Pan Stolnik Słomka wiele zaufany w swej powadze i znaczeniu, raczył także zaszczyścić nas swoją bytnością razem z córką i żoną.

Cała jego postawa okazywała człowieka, który się czuje, iż zostaje w nierównej stanem kompanii; ze wszystkiemi obchodził się jak z niższemi, i wcale nie uważał się być zmuszonym do czynienia żadnych grzeczności; a gdy niezgodna orkiestra zagrzmiała polskiego, powstał i, ani proszony ani dziękowany wziął gospodynię do pierwszej pary. Tu się to dopiero zaczęła przechadzka z pokoju do pokoju z niemalym nóg szelestem. Próżnoby kto przy powszechnej wesołości taktu chciał szukać — Prawdziwa wesołość żadnych krępujących ją reguł nie cierpi. Tak znowu upłynął cały przeciąg czasu aż do wieczery, w którym na-

patrzyłem się dosyć figlów młodego Pukszty, kokieteryi panny Burmistrzówny, zabawnych poruszeń poczciewego traktijernika i dąsów panny Gabryeli, która, dzięki wierniejszemu słudze, wystąpiła w ten dzień w nowiuteńkim kapeluszu z kwiatami.

Z hukiem rozwarły się podwoje jadalnej sali rześisto oświetlonej i ukazały się ogromne stoły zastawione różnego rodzaju potrawami. Kucharze pana Bomby nie zapomnieli i o piramidzie; słowem dosyć tam było wszystkiego i — jednego tylko brakło porządku.

Ale, miły czytelniku, który dosyć miałes cierpliwości do ukoń-

(214)

czenia tej powieści ; naco ci się
przydadzą opisy rzeczy , pokilkakroć już w życiu twojem widzianych. Wszystko co tylko mógłbym tu więcej dodać , byłoby próżném , kończę więc zostając nawsze twoim

najniższym sługą.

K. F. Pasternak.

K O N I E C .

BIBLIOTEKA
JIK
ROMANOWYCH

M 2163

